



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Ks. Karol Michejda pastor w Bystrzycy.

Liczba stron oryginału

52

Liczba plików skanów

52

Liczba plików publikacji

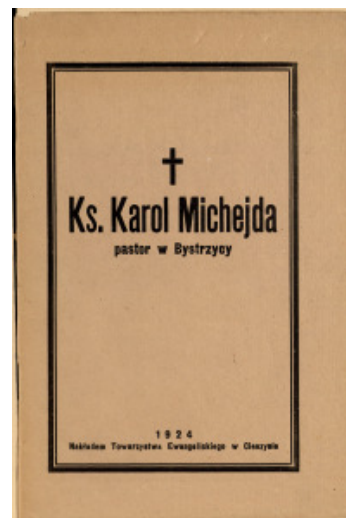
53

Sygatura/numer zespołu **KD II 01850**

Data wydania oryginału **1924**

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



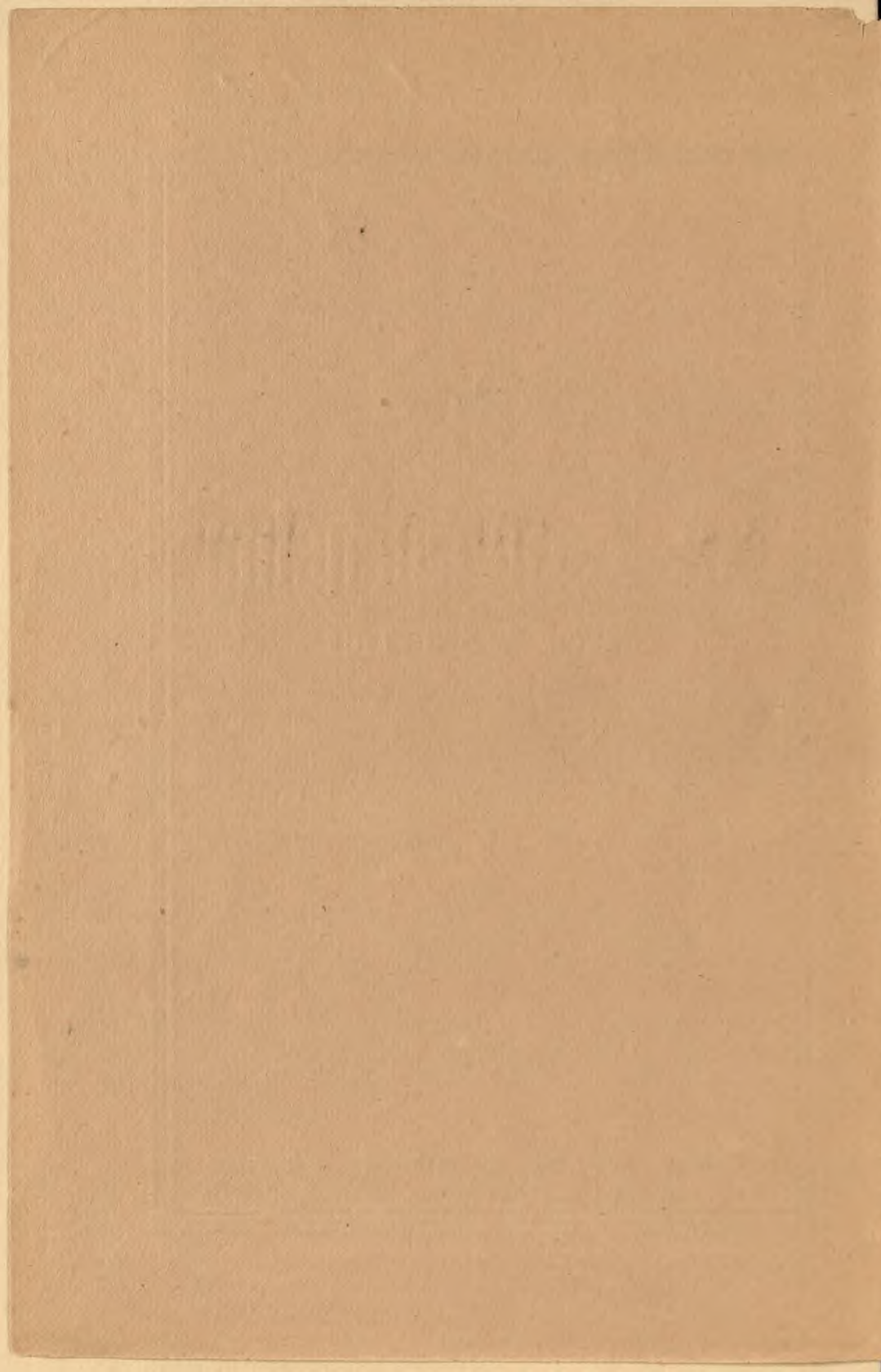


Ks. Karol Michejda

pastor w Bystrzycy

1 9 2 4

Nakładem Towarzystwa Ewangelickiego w Cieszynie





Ks. Karol Michejda

pastor w Bystrzycy

1924

Nakładem Towarzystwa Ewangelickiego w Cieszynie

ZBIORY
S. ZAHRADNIKA



KD II 1850

KD 1850

Odbito czcionkami
Drukarni
PAWŁA MITRĘGI
w Cieszynie, Polska.

K 253/01
3,00



Ks. Karol Michejda.

Z niewielkiej gromadki pastorów na Śląsku ubył w tym roku jeden z najstarszych, pastor bystrzycki ks. Karol Michejda.

Urodzony w roku 1855 w Olbrachcicach jako czwarty z sześciu synów, uczęszczał tam do szkoły ludowej, następnie przez cztery lata do gimnazjum ewangelickiego w Cieszynie, które wtenczas przestało istnieć. Dwa lata uczęszczał do gimnazjum katolickiego, dwa ostatnie lata do gimnazjum złączonego, państwowego, w nowym przez zbór cieszyński zbudowanym gmachu. W latach gimnazjalnych utracił najpierw matkę, następnie ojca. Studium teologii odbył we Wiedniu i w Zurychu. Jako student przebywał raz przez kilka tygodni w nieznanym mu zresztą zborze bystrzyckim. Nie mając gdzie przebywać podczas wakacji, przeżył je w szkole na Zaolziu, gdzie nauczycielem był jego kolega i współmieszkaniec w alumneum cieszyńskim śp. J. Pilch, późniejszy nauczyciel w Karpętnej. Później, gdy brat jego, zmarły przed 3 laty ks. Franciszek Michejda, został pastorem w Nawsiu, przez wakacje przebywał na farze w Nawsiu. Wtenczas to zbór bystrzycki znalazł się w trudnem położeniu. Po śmierci ks. Kotschego wybrano pastorem ks. Jerzego Badurę, znanego już wtenczas ze swych niezłomnych przekonań narodowych.

Gdy jego wybór wbrew woli zboru został unieważniony, zbór bystrzycki się zaciął i mimo nacisku ze strony władz, by nowy wybór przeprowadzać, postanowił przeprowadzić go dopiero wtedy, aż młody student teologii Karol Michejda będzie mógł być wybranym. Zbór wtenczas poznał swego przyszłego pastora, ten bowiem, pomagając bratu, co drugą niedzielę odprawiał w Bystrzycy nabożeństwa. Nie będziemy tu opowiadać tego wszystkiego, co ks. Karol Michejda przez 45 lat w zborze zdziałał, łaskawy czytelnik może się o tem dowiedzieć z książeczki, którą zmarły pastor bystrzycki sam wydał, a którą w Bystrzycy na farze w każdej chwili można dostać (Kronika ewang. zboru augsb. wyznania w Bystrzycy).

Znaczenie jego dla zboru polega nie tylko w tem, co zrobił, lecz w tem, czem był. Przedewszystkiem był to człowiek niezłomnych przekonań. Dla niego było rzeczą niemożliwą, swemi przekonaniami handlować, charakter jego prosty i prawy miał wyraźny



Ks. Karol Michejda.

przed sobą cel, i do tego celu bez wahania i wątpienia szedł. Ś. p. ks. Jerzy Badura nie mógł wtenczas znaleźć lepszego następcy czy zastępcy, niż go zborowi dał Bóg w postaci ks. Karola Michejdy. Jak wielu innych, tak i on stał pod wpływem ks. Dr. Otto, którego kazań stale słuchał i do którego w czasie nauki w katolickim gimnazjum uczęszczał na naukę religii, udzielaną w kancelarii fary cieszyńskiej. Wpływ tego niezwyklej miary człowieka na umysł młodocianego ucznia gimnazjalnego nie był może tak wyraźny, jakim był u jego brata Franciszka, który do ks. Otto stał w stosunku koleżeńskim; ale jeszcze jako pastor, aż do swych późnych lat, ks. Karol Michejda zawsze wspominał tak te godziny nauki, jak i chwilę konfirmacji, którą również odprawił ks. Otto. Obok tego nie pozostało bez znaczenia i wpływu na jego przyszłe życie także otoczenie z czasów studenckich. Tak w Cieszynie, jak w Wiedniu, a szczególnie w Zurychu brał żywy udział w związkach polskiej młodzieży. W Zurychu zapoznał się z młodzieżą z wszystkich części Polski i musiał się cieszyć znacznem poważaniem, jeśli na zebraniach uroczystych, odprowadzanych przez studującą tam młodzież, miewał uroczyste przemówienia.

Jakim był za młodu, takim pozostał przez całe życie. Religijności swej nie nosił na pokaz, za to był szczerze religijnym i zupełnie oddanym swemu powołaniu. Praca każdego duszpasterza obfituje w tak ciężkie chwile wewnętrznych walk, że niejedynemu nie umie ich zność bez skarg i głośnie wypowiedzianych żalów. Pastor bystrzycki w swym rozległym zborze miał takich chwil sporo, ale znośił je zupełnie cicho, dopiero w ostatnich latach, mając u swego boku syna, przed nim niekiedy dał wyraz swemu niezadowoleniu z tego, co naokoło siebie i w świecie musiał widzieć.

W swej pracy nie znał on zmęczenia. Przez długie lata był jedynym pastorem jednego z największych zborów śląskich, przez 29 lat nie prosił ani razu o urlop i tylko w razie koniecznej potrzeby opuszczał zbór. Swe obowiązki spełniał z sumiennnością, dochodzącą do przesady. Ile to ludzi przyszło do kancelarii jego, szczególnie w dawniejszych czasach, gdy stosunki społeczne naszych robotników nie były należycie uporządkowane, z żądaniem, by pisał podania i prośby, by wstawiał się za różnymi ludźmi. Nikt nigdy nie przyszedł o niewłaściwym czasie, bo czy przyszedł kto o szóstej rano, czy o dziewiątej wieczorem, każdego przyjął uprzejmie i nikomu nie wytknął tego, że o tak dziwnej porze przychodzi.

Tej sumiennności nie zaniechał i w kazaniach. Istnieli zawsze ludzie, którzy mówili, że słowo Boże powinno być głoszone bez dalszego przygotowywania, jakoby z natchnienia Ducha, że kto się przygotowuje na kazania, ten głosi swoją mądrość, a nie mądrość Bożą. W tych sprawach śp. Karol Michejda stał zawsze po stronie Harmsa, człowieka wielkiego ducha, który nieprzygotowywanie

się na kazania i przemówienia uważał za ciężki grzech. Każdy piątek dopołudnia poświęcony był rozważaniu nad niedzielnym kazaniem, każde kazanie też było przemyślane, ujęte w szatę prostych słów i wypowiedziane tak, że każdy je zrozumieć potrafił. W młodszych swych latach przemawiał zawsze z wielkim ogniem, i wtedy też z dalekich stron, szczególnie z pogranicza cieszyńskiego zboru, około Trzyńca i Dolnej Lesznej, przychodziło mnóstwo ludzi do bystrzyckiego kościoła.

Powszechnie o nim wiadano, że pod względem politycznym należy całem swem przekonaniem do obozu narodowego. Było to w dawniejszych czasach wśród pastorów zjawisko niezwykle, bo choć do narodowego obozu należeli i ks. Heczko z Ligotki i Janik z Ustronia, to jednak ich narodowe przekonania były tylko w nieznacznej mierze skryształizowane, inni pastrowie zaś, jak na przykład śp. Jędrzej Głajcar z Drogomyśla, ci zależnie od otoczenia zmienili swe polityczne przekonania. To też wywołało to w całej Bystrzycy niezwykle zdziwienie, gdy usłyszano, że młody pastor z swą żoną mówi w domu po polsku, tak, jak otaczający go lud. Z tem zjawiskiem, które dziś nikogo nie dziwi, nie umiano się w pierwszej chwili oswoić. Oswojono się jednak bardzo prędko, gdy spostrzeżono, że fara bystrzycka to nie żaden pałac, do którego zgola wstąpić nie wolno, chyba tylko tym, którzy mówią po niemiecku, ale że to dom taki jak każdy inny, że tam żyją ludzie, którzy uważają się za członków swego ludu, którego językiem ani obyczajami nie gardzą. To też stało się źródłem tego niezwyklego przywiązania, jakim cieszyła się w zborze i nawet poza zborem fara bystrzycka, gdzie każdy, który przyszedł, mógł się czuć jak w domu.

Ś. p. Karol Micheida był politycznie bardzo mało czynnym. Na to nie starczyło czasu. W przekonaniach swych był jednak niezłomnym i niezachwianym. O nim każdy zawsze mógł wiedzieć, co on myślał i do czego dążył. Nie można powiedzieć, żeby stosunki gminne i polityczne Bystrzycy, które dziś gminę tę stawiają w szeregu pierwszych gmin Śląska, były wyłącznie jego zasługą. Lecz tego nie można zaprzeczyć, że ci szlachetni ludzie, którzy te stosunki mozolnie wytwarzali, brali sobie wzór z swego duszpasterza, że patrzeli nań jako na swego duchowego ojca i wodza, który swego przekonania nikomu nie narzucał, ale siłą swego przekonania i szczerością swego postępowania każdego za sobą pociągał.

Podniesienie kulturalne gminy leżało mu zawsze na sercu. Wielki przyjaciel szkolnictwa, dbał wszędzie o to, by w gminach jego zboru, jak daleko sięgał jego wpływ, budowano szkoły, z nauczycielami zachowywać pragnął zawsze przyjacielskie stosunki i w każdym względzie był rzecznikiem szkół. Taksamo podniesienie rolnictwa było jego pragnieniem. Wyrósłszy w rolniczej rodzinie,

dla rolnictwa zawsze zachował wielką miłość. Zakupił też wnet na początku swej pracy na spółkę ze zbozem własność siedlaczą przy kościele i uprawę nabytej roli prowadził wzorowo. Przykładem swym wprowadził do Bystrzycy uprawę ozimego zboża, przekonywał o wielkiej wartości sztucznych nawozów i jako członek wydziału Kółka rolniczego zachęcał do korzystania z maszyn rolniczych. Od dawnych lat umieszczony był w farskiej stodole tryier, używany w Bystrzycy przez małych chałupników już wtedy, gdy w wielu innych gminach wielcy rolnicy nie wiedzieli, jak ta maszyna wygląda; pole jego zasiewane było siewnikiem, a wielkie zasługi zdobył sobie racjonalną uprawą ziemniaków, których gatunki na farskim polu zawsze były odnawiane, sprowadzał dużo gatunków z pól doświadczalnych hr. Dołkowskiego, przyczem gatunki były trzymane czysto a nie krzyżowane, tak że wielka część wsi zaopatrywała się tam w nasienne ziemniaki.

Że się do tych prac, w których miał nadzwyczajną pomoc w swej żonie, nie ograniczał, to na Śląsku każdy wie. Poznawszy, jakim szacunkiem cieszył się w zborze bystrzyckim ks. Wilhelm Raschke, i dostawszy do rąk pisane jego kazania, przerobił i wydał cały rocznik tych kazań, trochę wprowadzając racjonalistycznych, z czem się śp. Karol Michejda pogodzić nigdy nie umiał, ale za to bardzo prostych, jasnych i dostosowanych do warunków śląskich zborów. Przez długie lata był obok ks. Boruty z Starych Hamer jedynym współpracownikiem swego starszego brata, pastora nawiejskiego, w wydawaniu Przyjaciela ludu i Przeglądu politycznego. Obok tego pomagał temuż wydatnie przy wydawaniu Postyli ks. Otto, która wydawcom dała dużo do pracy. Rękopisy ks. Otto były bowiem bardzo nieczytelne, kazania bardzo skrócone, tak że wydawcy musieli często z porzuconych słów i zdań kazania układać. Taksamo pomagał przy tłumaczeniu modlitewnika Jerzego Trzaskowskiego i on też zasiliał swemi artykułami pismo ewangelickie, wydawane dla polskich Mazurów pod tytułem „Mazur“.

Przytem jedno trzeba podnieść: Śp. ks. Karol Michejda jeszcze w jednym był podziwu godzien, w znajomości języka polskiego. Mając kazać po polsku, uważał to za jeden z najprzedniejszych obowiązków, dobrze i poprawnie językiem władać. Dla niego było to, można powiedzieć, obowiązkiem religijnym. Głoszenie słowa Bożego było mu za wzniosłe i poważne, aby się mógł dopuszczać przy niem językowego niedbalstwa. Kosztowało go to wiele pracy, bo ukończył przecież niemieckie gimnazjum i jak sam mówił, łatwiej mu było w latach uniwersyteckich posługiwać się językiem niemieckim niż polskim. W czasie długotrwałego tyfusu, przedtem i potem jedną z najczęściej używanych książek była wielka gramatyka języka polskiego Małeckiego. Podobnie jak on, z zamiłowaniem szczerem studiował to wspaniałe dzieło przyjaciel jego i le-

karz w Jabłonkowie, Dr. Wieluch, z którym, ile razy ten zacny i szlachetny człowiek przyszedł na farę bystrzycką, toczyły się rozprawy o różnych formach językowych, dzięki którym ks. Michejda władał językiem polskim tak, że mógł być wzorem dla każdego, który ma obowiązek przemawiać w języku polskim.

Że ten człowiek cichy i skromny, lecz w swych przekonaniach niezachwiany, narażony był na różne przykrości i śledztwa, o tem wspomniano już na innem miejscu. Że był, tak jak każdy podobnie jak on myślący, solą w oku różnych mianowanych przez władze polityczne radców i prezydentów kościelnych, że niekiedy wyroki wydawane przeciw niemu urągały wszelkim wymaganiom sprawiedliwości, do tego był on przyzwyczajony. Co prawda, gdy w latach ostatnich w tym względzie musiał się dożyć gorzkiej poniewierki od ludzi, którzy umieli być gorącymi patriotami codzień innego narodu, tego przeboleć nie mógł. Przykrości te zresztą go złamały. Okazało się to wtenczas, gdy serce jego za jedną silną gorączką straciło wszelką siłę i nie zdołało już pracować.

Zmęczony poszedł, jak sobie tego zawsze życzył, wyniesiony z fary i z kościoła przez swych prezbiterów, z którymi przez cały czas swej pracy zawsze żył w braterskiej jedności, aby spocząć w grobie swych poprzedników, obok grobu jedynej, młodo umarłej córki, jak mawiał — „pod lipą“. Dziś już tam tej wielkiej, rozłożystej lipy niema. Zbór bystrzycki jest może jedynym na Śląsku zbozem, który dla swych pastorów ma wspólny grobowiec; który teraz chce rozszerzyć i porządnie zbudować, musiała dlatego stara, przez uderzenie pioruna rozszczepiona i zbutwiała lipa cmentarna paść pod uderzeniem toporów, ale pewnie znajdują się dłonie, które tam znowu zasadzą lipę, to nasze piękne i miłe drzewo, w której cieniu spoczywać będą ci, co już przez blisko 150 lat prowadzili zbór im powierzony, otoczeni i w śmierci przez liczny zbór tych, którzy tak jak oni odpoczywają od prac swoich.

Ostatnie chwile.

Jako pięknem i wiernem było całe życie ś. p. ks. Karola Michejdy, tak też pięknym i uroczystym był wieczór tego życia. Bywało często pod wieczór latowy, wychodziliśmy razem na przechadzkę na „kępę“ wzdłuż pola zborowego. Wówczas rozmawiał o tem, co mu największą troskę sprawiało, o sprawach zborowych, o przyszłości kościoła, o szkołach.

Patrzyliśmy na zachodzące słońce, które ostatkiem sił jakoby chciało całą ziemię ozłocić i rozjaśnić. Naokoło uroczysta cisza, a z wieży kościoła odezwał się głos dzwonu, do wieczornej wzywający modlitwy. Uroczysty każdy taki wieczór. A w chwilach takich nieraz słyszałem, jak z pewnością i wielu innych słyszało

głębokie westchnienie: „Boże, Boże, zachowaj ten kościół dzieciom naszym“. Do zachodu słońca olśniewającego ziemię, do wieczoru cichego i uroczystego było podobne jego rozstanie. Jak rzadko nad człowiekiem, spełniło się nad tym duszpasterzem słowo: Jakie życie — taka śmierć. Przypominamy sobie jego słowa wszystkie, wypowiedziane w tygodniu bolesnej choroby i podajemy tutaj wszystkim zborownikom, by „poznawszy koniec obcowania, mogli naśladować jego wiarę“.

Dziwnym niepokojem uderzyć musiało zborowników, gdy na ostatniem nabożeństwie, które miał dnia 10 lutego, modlitwę główną zakończył ze szczególnem westchnieniem i naciskiem: „Daj nam, o Boże, błogosławione skonanie“, powtarzając dwa razy te słowa. Wtedy to zszedłszy z kazalnicy, pod wpływem zmęczenia, powiedział w zakrystii słowa, których z pewnością nigdy przedtem nie wyrzekł, bo nigdy się do zmęczenia nie przyznawał, że tak go jakoś już kazania męczą. Któż byłby wówczas przypuszczał, że jest to ostatnie jego kazanie.

Za tydzień, to jest dnia 17 lutego 1924 na ostatniem posiedzeniu prezbyterstwa dwie sprawy przedstawił jako największą bolączkę. Pierwsza, którą z serdecznym apelem kładł na serce prezbyterom, to dług za organy. W sprawie dzwonów miał dobrą nadzieję. „Poczekajmy jeszcze kilka dni“, mówił, „mam przyrzeczenie od firmy, że wkrótce tu będą“. W następny wtorek, dnia 19 lutego, aczkolwiek mógł posłać czyto kuratora, czy młodszego pastora, sam osobiście wybrał się do Bogumina. Sam pragnął dzwony przywieźć i dać je zborowi, wyczekującemu ich przyjścia. Kiedy jednak w Boguminie niczego się nie dowiedział, gdy mimo danych zapewnień firma przewożąca dzwony nic pewnego o tych dzwonach powiedzieć nie mogła, to smutek z zawodu doznanego był zbyt wielki, aby nie wzruszyć stroskanego serca do głębi i nie osłabić go na śmierć.

Z Bogumina powrócił ks. pastor zmieniony do niepoznania. Pani pastorowa, wychodząca naprzeciw niemu z listem właśnie otrzymanym, donoszącym o odejściu dzwonów z Bochum, przerażona powitała go słowami: „Ty, cóż Ci się stało?“ „Nic, chory jestem a dzwonów niema.“

Gdy jednak przeczytał list, ucieszył się niezmiernie i zapomniał o swojej chorobie. W radości tej wygłosił całe kazanie poświęckowe, dawno już obmyślane, w którem wskazywał na trudności, jakie musiał przezwyciężyć. Zmęczony i gorączką trawiony poszedł się położyć. Ukłakł najpierw przed łóżem swoim i głośno, długo a rzewnie się modlił za wszystkich i za siebie. Wieczorem we wtorek nadszedł z Bogumina telegram z dobrą wieścią, że dzwony już są w Boguminie, lecz ks. pastor osłabiony gorączką i przecuciem trapiiony wyraził obawę: „Czy też jeszcze te dzwony

zobaczę.“ Był w tych słowach smutek, choć wówczas nikt z nas jeszcze nie przypuszczał możliwości śmierci. Dziś jednak trudno nam zrozumieć to zrządzenie, że ten, co całą duszą starał się o rychłe przywiezienie dzwonów, nie mógł ich już widzieć, bo nadeszły dopiero na jego pogrzeb.

Lekarz Dr. Niemczyk, wezwany wcześniej rano we środę, skostatował niebezpieczne osłabienie serca, co też później i inni lekarze jednomyślnie potwierdzili. Byliśmy u jego łóża. Osłabiony, niespokojny, cierpiał bardzo od gorączki, wszystko bolało. Bezradni, słabi, pełni obawy patrzyliśmy z kuratorem i członkami rodziny na jego cierpienie. A on patrzył na nas i z prośbą i bólem w głosie westchnął: „Gdybyście mi mogli pomóc“.

Rozmowy i wogóle większy ruch odwiedzających bardzo go męczył i pogarszał stan, wobec czego lekarze zabronili dostępu wszystkim bez wyjątku. To też ani własny brat, przyjeżdżający go odwiedzić, nie mógł go widzieć ani się z nim rozmówić. Dopiero w niedzielę, gdy stan, zdawało się, był lepszy i bracia znowu przyszli, dłużej z nimi rozmawiał. Wtedy to, widząc, zdawał już sobie sprawę jasno, że nie wyzdrowieje, ale z całym spokojem mówił o swojej śmierci. Innym razem skarżył się, że zbyt długo będzie musiał pozostać w łóżku i zupełnie wstrzymać się od pracy. Wykonywał więc wiernie wszystkie wskazówki lekarzy, aby poprawę przyspieszyć. Bowiem nie umiał sobie przedstawić chociażby kilku dni bez pracy. Z drugiej jednak strony przygotowany był na wszystko. Bogu swemu ufał i Jemu się oddał, żadnem słowem nigdy nie wyraził jakiegś bojaźni przed śmiercią. Przez cały prawie czas choroby ręce na piersiach złożone, wargi poruszające się, a od czasu do czasu głębokie westchnienie: Boże mój! świadczyły, że myśłami ostatnimi z Bogiem obcował. A jako posłuszny sługa Boży przyjmował w cichości ten gorzki kielich zbliżającej się śmierci.

Wśród niepewnego oczekiwania między nadzieją a rezygnacją, na ciągłym usługiwaniu i czuwaniu upłynął prawie tydzień. Zmęczona, bo przez cały czas choroby prawie nic nie śpiąca, czuwała wiernie Czcigodna Pani Pastorowa u łóża chorego dniem i nocą. Wdzięcznym był ks. pastor za tę wierność i przebudziwszy się nocą, szeptał prawie: „Tak dobrze, te najwierniejsze i najdroższe dusze są przy mnie i czuwają ze mną“.

Serce coraz więcej słabło mimo ciągłego zażywania i coraz większych dawek lekarstwa. W poniedziałek wreszcie orzekli lekarze, że już 24 godzin nie przetrzyma. Niepokój opanował cały dom. Oczekiwano z drżeniem katastrofy. Około północy z 25 na 26 lutego zaczął być niespokojnym, obracał się z boku na bok, a w końcu chciał powstać. „Już czas“ — „już muszę iść“, powiada. A to była chwila, w której, zdaje się, dusza Jego opuszczała umierające ciało. Po chwili uspokoił się, gdy zięć doktor dał mu jeszcze

dawkę lekarstwa. Usnął i głęboko wydychając leżał spokojnie. Zdałoby się, że po takim głębokim i spokojnym śnie obudzi się zdrowy — ale był to sen śmierci.

Coraz radsze, coraz słabsze były wytchnienia. W pokoju oprócz dzieci i najbliższej rodziny zgromadzili się z najbliższych domów zborownicy i niektórzy prezbiterzy i w świętej ciszy śledzili słabnięcie oddechu. Już dniało. Brzask dzienny oświecał słabo swemi promieniami ciche oblicze, na którem jaśniał pokój zbawienia. Nie było już w niem tego wyrazu skargi i bólu, jak przedtem.

Kiedy ustał oddech i ustało bicie serca, głęboki i serdeczny płacz przerwał milczenie długie. Był to płacz z modlitwą połączony, gdy ks. Oskar Michejda, uklękawszy obok łoża, dziękował w modlitwie Bogu za dobroć i błogosławieństwo, które dał zarówno zborowi jako dzieciom przez zgasłego ojca, w jego pracy i zaletach.

Tak zgasł twój wódz wierny, zborze bystrzycki. Czyż nie chcesz być mu wdzięczny? Pomnij więc na słowa apostoła i naśladuj Jego wiarę.

Ks. Fr. B.

Kazanie

ś. p. Karola Michejdy, w 3 niedzielę adwentu, dnia 11 grudnia 1904 r.

„Tak niechaj o nas człowiek rozumie jako o sługach Chrystusowych i o szafarzach tajemnic Bożych“. Na ten tekst, umiłowani w Panu, miałem kazanie w 3 niedzielę adwentową 1879 roku, a więc właśnie przed 25 laty. Naznaczył mi go ś. p. ks. superintendent S. Schneider, było to kazanie instalacyjne.

Tak niechaj o nas człowiek rozumie, jak o szafarzach tajemnic Bożych. Ma Bóg różnych szafarzy. Wy rodzice, wyście też szafarzami Bożymi. Wy dzieciom i czeladzi macie rozdzielać chleb żywota. Wy nauczyciele, wyście też szafarzami. Macie brać z skarbcza Bożego i udzielać młodym duszom na drogę żywota. „Wy wszyscy jesteście rodzajem wybranym, królewskim kapłaństwem, narodem świętym, ludem nabytym, abyście opowiadali cnoty tego, który was powołał z ciemności ku dziwnej swojej światłości“. (1 Piotra 2. 9.) I właśnie na to, aby wszyscy w szafarstwie swoim byli wiernymi i ochotnie je sprawowali, ustanowił Pan urząd duszpasterski: Idąc na wszystkie świat, nauczajcie wszystkie narody i chrzćciecie je w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, i uczcie je przestrzegać wszystkiego, com wam przykazał.

A jakież to skarby, które mi powierzył Pan, abym wśród was niemi szafował? Ach ceny ich ani wysłować nie umiem. W skarbnicy Salomonowej było wiele złota, klejnotów, drogich kamieni. Ale mnie bogatsza skarbnica powierzona. Jej najdroższym klejnotem Jezus Chrystus i pojednanie, które się przezeń stało. Mnie powierzony

urząd, zwiastujący pojednanie. „Bóg był w Chrystusie, świat z sobą jednając, nie poczytając im upadków, i położył w nas to słowo pojednania. Na miejscu Chrystusowem napominam was: jednajcie się z Bogiem, bo On tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił, abyśmy się stali sprawiedliwością Bożą w nim“. 2 Kor. 5, 18

Ja dzieci wasze chrzczę. A jakież to skarb i jaka moc, w chrzcie świętym wycisnąć na czole dziecięcia pieczęć, świadczącą, że stało się dziecięciem Bożem i dziedzicem Chrystusa. Jaka to moc, strapionym i obciążonym grzesznikom w spowiedzi i wieczerzy św. zwiastować: Grzechy twoje są ci odpuszczone, idź w pokoju, bo cie na wieki nie będą oskarżały przed Bogiem. Jakaż to moc, ślub dożgonnej wierności i miłości oblubieńców błogosławić w imieniu Boga trójjedynego. A jeszcze większa, móc zwiastować konającemu, czy to pielgrzym syty dni żywota, czy młodzian albo dziewczę, wiedzający, jak trawa wędnie: Wytrwaj w ostatnim boju, gdy tu oczy zamkniesz, otworzą się tam u Ojca, u którego jest radości obfitość i wesela na wieki wieków.

Te wielkie łaski i prawdy ewangelji zowie apostoł tajemnicami, bo je nam Bóg objawił, boby ich człowiek z własnej siły i rozumu nigdy nie był dociekl.

To szafarstwo tajemnic Bożych sprawuję u Was 25 lat. Jestem z rzędu u was duszpasterzem piątym, a pierwszym, któremu Bóg dozwolił u was pracować 25 lat. Ta okoliczność przedewszystkiem skłoniła pewnie prezbiterstwo, że uchwaliło dzień ten obchodzić tak uroczyście. Płaci to w pierwszym rzędzie urzędowi, który piastuje, a tylko w drugim mnie i mojej osobie, bo czuję i wyznaję, że moja zasługa nie jest żadna, i że nie moja zasługa, ale wasza rozrzewniająca mnie życzliwość spowodowała was do uświetnienia dnia dzisiejszego. Dziękuję wam wszystkim! Ale wy ze mną zwróćcie serca ku Bogu z podziękowaniem za jego łaskę i miłosierdzie. Imieniu twemu, o Boże, chwała i cześć! Zaśpiewajcie naznaczoną pieśń!

Dzisiejsze moje słowa, umiłowani w Panu, oprę na dwu tekstach, z których jeden dla mnie, a drugi dla mnie i dla was razem.

1 Mojż. 32, 10; 2 Piotra 3, 18.

Tobie, o Boże, chwała i dziękczynienie za łaskę i miłosierdzie Twoje. Tobie dziękczynienie za to, żeś dał dożyć dnia dzisiejszego, za to, żeś powierzył mi szafarstwo Twoich skarbów, za to, żeś mi dał miłość zboru Twego, tych dusz drogo kupionych, za to, że słowo Twoje, opowiadane memi niegodnymi usty, nie wracało darmo, ale sprawiło, na co posłane było. Błogosław, duszo moja, Panu! A prosimy Cię, bądź i nadal ze mną i całym zbozem. Ubłogosław nas

Twemi darami, doczesnemi i wiecznemi, daj, abyśmy urośli w łasce i znajomości Pana naszego Jezusa Chrystusa i zbawienia dostąpili. Amen.

Umiłowani w Panu, słyszeliście słowa tekstów. W dzisiejszy dzień bierzemy z nich: 1) wspomnienie i 2) napomnienie.

I.

Dwadzieścia pięć lat stałem na tej kazalnicy, na której przedemną stali tacy mężowie jak A. Paulini ojciec, który powołany przez waszych praojców, opuścił swoją ojczyznę, i wiedziony miłością, przyszedł tu zwiastować słowo Boże; jak A. Paulini syn, autor owej Nauki, z której starsi z was i ja także uczyliśmy się poznawać Boga i wierzyć w Chrystusa, a która poczyniała się pytaniem: Jakież jest człowiek bez wszelkiej nauki? Jak niezgasłej pamięci W. Raschke, o którym w kazaniu nad jego zwłokami powiedział jego przyjaciel, ks. Kotschy z Ustronia, że zmarł lekarz duszy i ciała, a który jeszcze dziś każe w waszych domach, bo wiem, że w niejednym domu bywają czytane kazania jego na lekcje, które doczekały się nareszcie druku; jak Oskar Kotschy, którego pamięć wśród starszego pokolenia nie wygasła. Oni wszyscy, wybojowawszy bój, weszli do odpocznienia, które Bóg zgotował ludowi swemu.

Nie przyszedłem do was jako zupełnie obcy, ale za dziwnem zrządzeniem Bożem. W lipcu 1877 roku, w piątek, zachorował ks. Kotschy. W następną niedzielę miałem tu kazanie, moje kazanie drugie, kiedy wróciłem właśnie ze szkół na wakacje. Dnia 5 września umarł ks. Kotschy i znowu pierwsze kazanie po jego śmierci miałem ja. Wyjechałem na cały rok w celu ukończenia nauk. Tu wybrano tymczasem ks. Jerzego Badurę, pochodzącego z Drogomysła, a sprawującego urząd w Prusiech. Władze kościelne przyrzekły, że wybór będzie zatwierdzony, lecz władze polityczne zatwierdzenia odmówiły. Słusznie zbór widział w tem krzywdę i sobie i wybranemu wyrządzoną i dlatego dwukrotnie wysyłał deputację do ministerstwa z prośbą o zatwierdzenie, ale daremnie. Gdy po roku wróciłem ze szkół, jeszcze toczyły się układy z rządem i przeciągnęły się aż do wiosny roku 1879. Tymczasem miewałem tu znowu kazania co drugą niedzielę na przemian z bratem z Nawsia. Na wiosnę 1879 przyszła ostateczna odmowna odpowiedź na prośbę o zatwierdzenie wyboru ks. Badury, a w święto Trójcy św. tegoż roku uchwaliło większe zastępstwo, że posady nie rozpisze i wybór odłoży aż do czasu, którego ja uzyskam prawo wybieralności, co miało nastąpić w sierpniu. Dnia 24 sierpnia wybrano mnie omal jednogłośnie, który to wybór c. k. Rada kościelna na dniu 4 grudnia 1879, w sam raz w 24 rocznicę moich urodzin zatwierdziła, a w 3 niedzielę adwentową — dziś temu 25 lat — zostałem tu przed tym ołtarzem przez ś. p. superintendenta S. Schneidera ordynowany

i w urząd uroczyście wprowadzony. A tak przyszedłem do pierwszego mego tekstu: Mniejszym jest, niż wszystkie zmiłowania i niż wszystka prawda, którąś uczynił z sługą swym.

Dzień dzisiejszy, umiłowani w Panu, musi dla mnie być przede wszystkim dniem dziękczynienia. A komuż należy pierwsze dziękczynienie? Bogu, który będzie, jakim jest, i którego lata końca mieć nie będą. Zbawicielowi, o którym napisano: „Jezus Chrystus wczoraj i dzisiaj i ten sam na wieki“. Bogu i Zbawicielowi, który mnie nosił na skrzydłach miłości. Bogu, który dał mi rodziców skromnych, ale zacnych, co pamiętając, że nauka klejnot, nauka skarb drogi, od ust sobie nieraz odejmowali, aby nas synów mogli do szkoły posyłać, ale co jeszcze większa jest, rodziców pobożnych, co w młodociane serca wszczepiali miłość Bożą i bojaźń Bożą. Z lat dziecinnych tkwi mi w pamięci, jak ojciec i matka idąc do kościoła, jednego lub dwóch z nas z sobą zabierali, a pozostałym przykazywali, że dzień święty trzeba święcić słowem Bożem i pieśnią, abyśmy tedy kazanie przeczytali i pieśni wyśpiewali, i jak ojciec, gdy się kiedy do kościoła nie mógł wybrać, nas wszystkich koło słowa Bożego gromadził i albo sam kazanie czytał, albo jednemu z nas czytać kazał. Dzień dzisiejszy jest mi dniem dziękczynienia Bogu, który gdy według niezbadanej rady wcześniej odwołał rodziców, gdy matka umarła, miałem lat 12, gdy ojciec, lat 17, dał mi dobrych opiekunów, a na pierwszym miejscu mianować muszę najstarszego brata, którzy dzieło przez rodziców rozpoczęte dalej prowadzili i nauki dokończyć pomogli. Dzień dzisiejszy, to dzień dziękczynienia Bogu, który mnie tu do tego zacnego urzędu powołał i tu w tym miłym, kochanym bystrzyckim zborze duszpastrzem postawił, który ma otwarte ucho na zwiastowanie o Synu Bożym i Synu człowieczym i o sprawiedliwości z łaski, którą nam Pan krwią swoją uzyskał. Przeżyliśmy z sobą, zborze kochany, 25 lat. Były między niemi dobre, i były też ciężkie, lata chorób i niedostatku, ale Pan nad nami trzymał prawicę swoją i nie dopuścił, abyśmy nad możność kuszeni byli, a nadto nawiedzeniem swoim niejedno serce obudził do pokuty i wiary. Nie brakło czasem i przeciwności. Pan sam mówi: Biada wam, gdyby dobrze mówili o was wszyscy ludzie. Łuk. 6, 26. Niech mi Bóg przebaczy, jeżeli kiedy w nich walczył nie miłością, ale nienawiścią.

Jeżeli od Pana, który kieruje sercami jak potokami wód, zwracam się do ludzi, to najprzód podziękować muszę prezbiterstwu. Z tych zacnych mężów, którzy przed 25 laty wokację moją podpisali, weszło już do wiecznego pokoju siedmnastu, piętnastu jest jeszcze przy życiu, a 5 dotąd w urzędzie. Jak się dziękuje miłym braciom, tak w wdzięcznej pamięci zachowuję tych, którzy posnęli, a dziękuję wam, coście przy życiu, żeście mnie powołali, i takie piękne, serdeczne przyjęcie mi zgotowali. Czy pamiętacie jeszcze.

żeście w jakie 30 sanek do Nawsia po mnie przyjechali i przy ogłosie dzwonów tu mnie przywieźli? Czy pamiętacie, jak u bram kościoła niezgasłej pamięci Józef Biedrawa witał mnie, życząc, aby Bóg pobłogosławił wejście i wyjście moje? Serdeczne dzięki wam, coście wówczas w urzędzie byli, i wam wszystkim, coście po nich do urzędu wstąpili, za tę wielką życzliwość, jakąście mnie wszyscy każdego czasu otaczali i wyświadczali mi. Co zaś mówię do prezbiterów, to odnosi się także do członków większego zastępstwa. Duch zgody i pokoju panował zawsze na zgromadzeniach i prezbiterstwa i zastępstwa, tak że mi nigdy nie było trudno przychodzić na posiedzenia. Oby tego ducha pokoju i w przyszłości Pan nam zachował! Oby wam użyczył sił i błogosławieństwa do dalszej pracy około budowy Królestwa Bożego w tym miłym naszym zborze! — Nie mniej doznawałem też życzliwości i przyjaźni od nauczycieli zborowych. Praca wasza i moja odbywa się na jednej roli, którą są serca. Musi tedy iść równolegle, jeżeli ma być błogosławiona. A szła tak bez przerwy, za to wam dziękuję i proszę Boga, aby tak i nadal zostało. Ale wiem i wyznaję, że łączy was ze mną nie tylko zrozumienie, żebyśmy byli złymi niewiernymi szafarzami, gdybyśmy się wzajemnie nie popierali, bobyśmy sami niszczyli zasiew swój, ale że łączą was ze mną węzły serdeczne. Gdyby na to było trzeba dowodu, to dostarczył go dzień dzisiejszy. Za to wam przedewszystkiem dziękuję i proszę was: Zachowajmy to sobie! Nareszcie przychodzę do ciebie, ty cały miły zborze, wy wszystkie miłe dusze. W starym kościele węzeł łączący księdza i zbór porównywano z małżeństwem, oboje byli z sobą zaślubieni. A ja też śmiem powiedzieć: Pan mi dał ślub z wami, z tym całym zbozem. Wyście mnie od początku, wyście mnie młodego i niedoświadczonego przyjęli z miłością i ufnością. A to mówię nie tylko o was, którzy żyjecie, ale o tych wielu, których Pan powołał do onego górnego Jeruzalemu. Wyście słowo, choć nieraz bywało ostre i głęboko zacięło serca, przyjęli w cichości. Wyście je przyjęli ku nauce, ku strofowaniu, ku naprawie, ku ćwiczeniu, które jest w sprawiedliwości. A dowody tej miłości i wierności dawaliście mi zawsze, szczególnie w dniach smutku i krzyża. Duszpasterz powinien się za zbór, zbór za duszpasterza modlić. Słyszymy to na każdym nabożeństwie. Gdy ksiądz zanuci: Pan niech będzie z wami, to jest to modlitwa przyczynna za zbór. A gdy chór odpowiada, a właściwie odpowiadać powinien cały zbór: I z duchem twoim, to jest to modlitwa przyczynna za księdza. A wyście się tak za mną przyczyniali nie tylko tu w kościele; jam to nieraz tu na kazalnicy odczuwał, że mnie trzymacie na rękach waszej modlitwy. Wyście się za mnie modlili w czasie choroby. W roku 1885 wziął mnie i cały mój dom Pan na wysoką szkołę krzyża. Wyznaję otwarcie, w tej szkole wyćwiczył mnie Pan w wierze i modlitwie. Zachorowała na

tyfus żona, zachorowały dzieci, zachorowała czeladź; na końcu, gdy inni powoli powstawali, zachorowałem ja. W dzień pokutny miałem przed chorobą kazanie ostatnie, w dzień Wielkiejnocy po chorobie pierwsze. Były nieraz dni trwożne; serce osłabione ledwie biło. Bóg mnie poratował i zachował. Ale poratował za waszą modlitwą, którąście czy tu w kościele zgromadzeni, czy w domach swoich do niego zanosili, użalił się tych łez, któreście tu wylewali. Pewien zborownik, już także nie żyje, spotkawszy mnie po chorobie po pierwszy raz, powiedział mi: Panie tatulku, myśmy ich od Boga wymodlili. I wiem, że tak było. Doznawałem w onym czasie wiele współczucia i pomocy, za wszystko, przede wszystkim za te modlitwy, za te wasze łzy dziękuję, bo to najszczerzy dowód waszej miłości, a wiem, że tej miłości lata nie ostudziły, że zachowaliście mi ją aż potąd, i proszę was, zachowajcie mi ją i na przyszłość. A możemy ją zachować, bo nas tysiączne łączą węzły. Wasze dzieci wszystkie chrzcilem, a ilu was we chrzcie na rękę trzymałem; ilu was w confirmacji w moje ręce składało Bogu wierności ślub; ilu was błogosławiłem do wspólnego życia — smutek i radość z wami dzielę i was wszystkich w codzienną moją modlitwę załączam. A jeżeli, czego dziś mi za złe nie weźmiecie, rodzinę moją wspomnę, to przytaczam, że tu u tego ołtarza czworo dzieci moich chrzcilem i konfirmowałem, a jedno do szczęśliwego małżeństwa pobłogosławiłem. A gdy to wszystko w jedno złączę, to sprawdziło się nademną słowo patriarchy Jakóba: Mniejszym jest niż wszystkie zmiłowania i niż wszystka prawda, którąś uczynił z sługą swym. Prawdziwym jest, gdy patrzymy na odkupienie, które się stało w Chrystusie Jezusie, sprawiedliwość z łaski i niebo otwarte; prawdziwym też jest, gdy spoglądamy na drogi, jakimi mnie w życiu prowadził. A jeżeli spoglądałem w łaskę Boga i Zbawiciela naszego, to oko samo od siebie stamtąd wraca w własne serce i sumienie. A tu zapisano wiele połowiczności, zaniedbania i innego grzechu. A jako proszę dziś Boga i Zbawiciela o odpuszczenie, tak proszę i was: Opuśćcie mi, gdzieś zaniedbaniem, samolubstwem i innymi grzechami zbłądził.

II.

Przejdźmy teraz do drugiego naszego wspólnego tekstu: Roście w łasce i znajomości Pana naszego i Zbawiciela. Drzewo, jeżeli już nie rośnie, jeżeli każdej wiosny nie pędzi nowych latorośli, poczyną umierać. Człowiek cieleśnie rośnie do 20 roku. Potem następuje 10 lat, w których się rozwija i dojrzewa, potem następuje czas trwający 25 - 30 lat jakby zastoju a przytem dzielnej pracy. Nareszcie nachyla się do ziemi, z której jest wzięty. Wewnętrznie i duchownie musi człowiek rość aż do końca. Wielu w wieku sędziwym urosło więcej, niż w całym poprzedzającym życiu. Abyśmy tedy nie ustali,

ale rośli w wewnętrznym człowieku, to tak jak dotąd to czynilem, chcę i nadal, dopóki Bóg sił i życia udzieli, dopóki nie weźmie ode mnie szafarstwa mojego, opowiadać Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego dla grzechów naszych, a zmartwychwzbudzonego dla sprawiedliwości naszej. Wy zaś pamiętajcie, że na miejscu Chrystusowem napominam was i poselstwo jego sprawuję, wołając: Jednajcie się z Bogiem!

Jeżeli zaś chcemy rość, to nie zapominajmy, że w tekście naszym łaska wspomniana jest przed znajomością. Wiecie także, że Piotr w swem wyznaniu powiedział: Myśmy uwierzyli i poznali — naprzód uwierzyli a potem poznali — żeś ty jest Chrystus, Syn Boga żywego. Kto chce wprzód poznać, a potem uwierzyć, trudno albo nigdy nie przyjdzie do prawdziwej społeczności z Panem. Kto przez wiarę zanurzy się w morze łaski, ten pozna z wszystkimi świętymi, która jest szerokość i długość, głębokość i wysokość miłosierdzia Bożego, i że miłować Chrystusa lepiej, niż mieć wszelką znajomość. Kto chce Pana poznać, nie uwierzywszy w niego, ten podobny jest człowiekowi, który chce się nauczyć pływać, nie wstępując do wody.

Wiecie, umiłowani, że drzewa i kwiaty wtedy tylko rosną, gdy korzenie zdrowe; z nich sok i żywot wstępuje w latorośle i liście. A któryż jest korzeń całego chrześcijaństwa? Drugi artykuł wiary, który Luter tak cudownie wyłożył: Wierzę, że Jezus Chrystus, prawdziwy Bóg z Ojca w wieczności zrodzony i zarazem prawdziwy człowiek z Marii Panny, narodzony, jest moim Panem, który mnie zgubionego i potępionego człowieka wybawił, odkupił i pozyskał od wszelkiego grzechu, od śmierci i władzy szatana, nie złotem, ani srebrem, ale krwią swoją świętą i drogą i niewinną męką swoją i śmiercią; abym był jego własnością w jego królestwie żył pod nim i jemu służył w wiecznej sprawiedliwości, niewinności i szczęśliwości, tak, jak on zmartwychwstał, żyje i króluje na wieki. To jest istotną prawdą!

Na tej wierze Pan i apostołowie opierają całe zbawienie. Pan mówi: Kto uwierzy a ochrzci się, zbawion będzie; kto nie uwierzy, będzie potępion. Apostoł Paweł pisze do Rzymian: „Przetoż mamy za to, że człowiek bywa usprawiedliwiony wiarą bez uczynków zakonu“. A do Efezów: „Łaską jesteście zbawieni przez wiarę, a to nie jest z was, dar to Boży jest“. Ten święty grunt Luter odkrył, zrzuciwszy śmieci ludzkich ustaw i sprawiedliwości z uczynków, a tak zbudował nasz kościół na kamieniu węgielnym, którym jest Jezus Chrystus. Przy tem trwajcie, z wiary swojej ani litery nie dajcie naruszyć albo sobie wziąć. „Za naukami różnemi i obcemi nie unoscie się, albowiem dobra rzecz jest, aby łaską było utwierdzone serce“. Żyd. 13, 9. Śpiewajcie zawsze, jakośmy dziś śpiewali: Wiemci, w kogo ja wierzę, albo: Nie puszczę Cię, Jezu mój.



A mam jeszcze niektóre uwagi, które chciałbym wam dziś włożyć w serce i sumienie. Wiecie wszyscy, że Pan w św. wieczerzy podaje najdroższe skarby, przede wszystkim odpuszczenie grzechów, a gdzie jest odpuszczenie grzechów, tam jest żywot i zbawienie. Nie powiem, żeby ustało pragnienie odpuszczenia grzechów, gromadzicie się licznie koło ołtarza Bożego. Ale powstają i wśród nas ludzie, wyznawający się wprawdzie grzesznikami, ale gardzący wieczerzą Pańską, pragnący być sami sobie Chrystusami, sami sobie odkupicielami. Patrzcie, aby was nie zwodzili próżnemi mowami. Pamiętajcie, co powiedział Pan Jezus: Jam jest droga, prawda i żywot, nikt nie przyjdzie do Ojca, tylko przezemnie. A na innym miejscu: Kto je ciało moje i pije krew moją, ma żywot wieczny, a ja go wzbudzę w on ostateczny dzień (Jan 6, 54).

I jeszcze jedna prośba, którą często wyrażałem i także dziś na sercu ją kładę. Najpiękniejszym dniem w tygodniu jest niedziela; najpiękniejszym domem w zborze jest kościół. Uczęszczanie do kościoła, to drogi obowiązek chrześcijanina, jak powiada apostoł Paweł: Nie opuszczajcie zgromadzeń naszych, jako niektórzy obyczaj mają. Ale powiadam wam, dom Boży opustoszeje, jeżeli słowo Boże nie wejdzie, jak za ojców bywało, do domów naszych. Niedziela to piękna wielka góra, którą poranne słońce najprzód oświeca. Stamtąd schodzi w dolinę tygodnia, wylewa swe jasne ciepłe promienie na powszednie dni. Jak ciało chce jeść, tak pragnie też dusza pokarmu. Bo człowiek nie żyje samym chlebem, ale każdym słowem, pochodzącym z ust Bożych. Ojciec niebieski zasłużył to około nas, aby się dzieci jego choć raz w tygodniu, w niedzielę koło słowa jego gromadziły, nie tylko tu w kościele, ale też w domach, niem się podniosły nad ziemi radość, troskę i trud i pokrzepiły na drodze do niebieskiej ojczyzny. Do tego należy też codzienna modlitwa poranna, stołowa i wieczorna, choćby tak krótka, jak ją Luter w katechizmie ułożył, a dość długa, aby Bogu podziękować za łaski i prosić o zachowanie od grzechu i złego. Gdy dzień tak, niby świętą ramą, modlitwą objęty, nieprzyjacielowi trudno do nas przystąpić.

A czyż zbawienie wam tak na sercu leży jak swoje? Zbawienie dzieci waszych. Wiecie zaś, że zwodzicieli, pragnących od Chrystusa odwieść, a uwieść w grzech i hańbę, jest wiele. Szkoła wyroków z Pisma, katechizmu i naszych starych pieśni ewang. nie może tak często powtarzać i tak je w serce wpoić jak dawniej. Znadto inni — a któżby przeczył, też potrzebnymi przedmiotami obciążona. Któż ma o to dbać, aby dzieci tę łaskę, o którą oparli do górnego Jeruzalemu pielgrzymujemy, mocno w ręce trzymały? Wy mili rodzice. Dzieci wasze, to wasze ciało i krew. Od nas, ich wodzów i opiekunów ich młodości, Pan ich kiedyś żądać będzie. To też będzie częścią zbawienia, gdy kiedyś z Jeremiaszem będziemy mogli powiedzieć: Panie, otom ja i dzieci moje, któreś mi dał. Przeto

wcześnie do słowa Bożego i katechizmu przytrzymujcie. Pomagajcie modlitwą i serdecznem napomnieniem, aby się stały ich własnością. Śpiewajcie też w domach waszych Panu pieśni nabożne. A czego się dzieci od was rodziców nauczają, za tem wasza miła postać stać będzie, choćbyście weszli do pokoju swego. A z dziećmi i wy rość będziecie w łasce i znajomości Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Umiłowani! Tu nie mamy miejsca trwałego. Jakom przez 25 lat także umarłych waszych do pokoju błogosławił, tak niejednego z was błogosławić będę, aż samemu Pan położyć się każe. Chcecie, abyśmy tam wszyscy się ujrzeni i radowali: Rośmy w łasce i znajomości Pana naszego Jezusa Chrystusa, któremu niech będzie chwała i teraz i na czasy wieczne. Amen.



Pogrzeb.

Pogrzeb ś. p. ks. Karola Michejdy, dnia 29 lutego, był niebywale manifestowaniem wielkiej czci i poważania, jakim się zmarły cieszył wśród naszego społeczeństwa, a na jakie sobie w całej pełni zasłużył. Zeszło się do 10 tysięcy uczestników. Cały wielki plac kościelny był wypełniony ludźmi. Księży przybyło dwudziestu dwóch z ks. senjorem Folwarcznym i ks. senjorem Kuliszem na czele.

Nad trumną zmarłego, ustawioną w kancelarii zborowej, zmówił modlitwę ks. Karol Michejda, profesor uniwersytetu w Warszawie; przed domem przemówił ks. profesor Stonawski z Cieszyzna. Na nabożeństwie żałobnem w kościele ks. senior Folwarczyński z Orłowej pożegnał zmarłego imieniem kościoła ewangelicko-augsburskiego w Czechosłowacji; przemówienie jego miało za tekst słowa z Dziejów apostołskich 20, 25: „A teraz oto ja wiem, że już więcej nie oglądacie oblicza mego wy wszyscy, między którym chodził, każąc królestwo Boże“.

Nastąpiło przemówienie kuratora zboru bystrzyckiego, pana Jana Ciemały z Wędryni, potem kazanie ks. Karola Krzywonia w kościele, względnie ks. Jana Unucki na placu kościelnym.

Nad grobem ks. Szeruda, profesor uniwersytetu warszawskiego, odczytał list ks. biskupa Burschego, pełen głębokiego żalu i serdecznego współczucia dla rodziny zmarłego i dla jego zboru. Ks. profesor Heczko z Karwiny przemówił imieniem dawniejszych uczniów, pochodzących ze zboru bystrzyckiego, poczem zwłoki pobłogosławił do spoczynku grobowego ks. Buchwałdek, młodszy pastor miejscowy.

Chór nauczycieli, chór dzieci szkolnych i chór mieszany młodzieży zborowej śpiewał przed domem, w kościele i na cmentarzu piękne pieśni żałobne. Zbór śpiewał pieśni, co do których ś. p. ks. Michejda nieraz sobie życzył, aby je kiedyś śpiewano na jego pogrzebie: „Wiek życia minął, praca ustała“ i „Sługa twój spracowany idzie na spocznienie“.

Przemówienie

ks. Jana Stonawskiego przed domem.

Znowu jeden z naszych wodzów. Mojżesz miał tylko z daleka oglądać ziemię obiecaną, więc kiedyśmy trzy lata temu stali przed farą nawiejską, na śmierć smutni, to serce nasze wmawiało w siebie,

że to jednak los Mojżeszów, takich ogromnych podejmować się prac, iż dopiero następne pokolenie może w zupełności korzystać z ich owoców. Ale cóż dzisiaj powiemy i czym dzisiaj pokrzepimy duszę zasmuconą? Czy wielu nie myślało, że drogi Zmarły, to może Jozue lub jeden z onych kapłanów, którzy skrzynię przymierza przenieśli przez Jordan i lud cały wszedł za nimi do ziemi wolności?

Dużo na świecie rozmaitych wodzów, lecz mało ludzi na wodzów stworzonych. Człowiek się tak łatwo do tego przyzwyczaja, że choćby już sam nie należał do najmłodszych, ma jeszcze kogoś



Pogrzeb śp. ks. Karola Michejdy.

starszego koło siebie i może z nim różne sprawy omówić, albo mu nawet kazać za siebie myśleć. Co za sieroctwo i osamotnienie pociąga potem śmierć jego za sobą! Bez ojców naszych duchownych będziemy długo, jak ta grupa drzew, które razem stanowią bardzo piękną całość. Ale przychodzą robotnicy leśni, i pada największe pod ciosami ich siekier. Potem dopiero widać, że te mniejsze nie są znowu takie ładne, jak się przedtem zdawało, że im tu brak gałęzi i tam im brak gałęzi i nie są na wszystkie strony jednako rozwinięte.

Smutny widok, wódz bez wojska; równie smutny lud bez wodzów. Nieraz stajemy nad grobami naszych miłych i pełni trosk, pytamy się: Cóżby nam oni w tem położeniu poradzili uczynić?

Im większy zaś był zakres ich pracy, tem większe zastępy z takim właśnie pytaniem stają nad ich mogiłami: Cóżby oni na to wszystkim powiedzieli, co się obecnie dzieje na świecie? Nad twoim grobem pewnie też tak często będziemy wystawali, zadumani, zasłuchani, — wdowa i dzieci, członkowie zboru i tej gminy bystrzyckiej, ludzie zajmujący się sprawami publicznymi, a przyzwyczajeni w tych sprawach czerpać z krynicy twojego doświadczenia, lub nawet dać ci się wyręczyć.

Apostoł mówi, że nikt sobie nie umiera. Tylko żyjący sobie umierają sobie; kto żyje innym, umiera innym i wszyscy potem oplakują jego zgon. Komuż on żył oprócz tego, że żył Panu swojemu? Łzy wdowy i dzieci są wymownem świadectwem, że od nich najlepszy odchodzi małżonek i ojciec; żałoba nie tylko zboru tutejszego, lecz wszystkich naszych zborów na Śląsku dowodzi, że umarł jeden z najczcigodniejszych kaznodziei i duszpasterzy; to ogromne zebranie, czem ono jest innem, jak stanowczem stwierdzeniem, że całe nasze społeczeństwo polskie uważa tę stratę za swoją wielką stratę.

Myśmy tu przyszedł, pomni nie tylko tej pracy, lecz także pełni podziwu dla twojego nieugiętego wytrwania przy zasadach, któreśmy razem z tobą uważali za dobre i za jedynie słuszne. Sprawiedliwość, która człowiekowi przynosi cierpienia, jest z pewnością większa od sprawiedliwości, która mu otwiera drogę do zaszczytów, — Chrystus jej obiecuje królestwo niebieskie. A tyś cierpiał, Ojcie nasz drogi, cierpiełeś za to, w coś tak mocno wierzył i coś tak szczerze pokochał, tyś za to musiał i umiał znosić — dawniej śledztwa rozmaite, a w końcu nawet więzienie. Za ten przykład pracy wiernej i gotowości cierpienia, jakiś nam pozostawił po sobie, chcemy cię w świętej i wdzięcznej zachować zawsze pamięci. Słuchaj, co ci powiem w imieniu tych zastępów: Bystrzyca bez ciebie, to przez pewien czas będzie dziwnie wyglądało; ale ta Bystrzyca chce w dalszym ciągu tak myśleć i tak wyglądać, jak wyglądała za ciebie. Chcemy pozostać wiernymi zasadom, któreś tu głosił słowem i czynami przez blisko pół wieku, — że trzeba miłować Boga ze wszystkiego serca, że się duszą całą trzeba uchwycić Zbawiciela, że trzeba dla ludu swojego coś zrobić. Chcemy wytrwać przy prawdzie, którą miałeś na myśli, kiedy sam na nowych dzwo-
nach kazałeś na jednym, drugim i trzecim wypisać słowa: Wiara, nadzieja i miłość.

Zegnamy się z tobą, wdzięczni Panu za to, że spełnił nad tobą słowo: „Kto mieszka we mnie, a ja w nim, ten przynosi wiele owocu.“ Na ostatnią drogę twoją błogosławimy cię w imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen.

Przemówienie

pana Jana Ciemaly z Wędryni, kuratora zboru bystrzyckiego.

Drogi duszpasterzu! Przypada mi smutny obowiązek, ażeby Cię pożegnać na zawsze w imieniu prezbyterstwa i Twoich zborowników. Nagłym i niespodziewanym zgonem zostaliśmy zaskoczeni, a zbor nasz przez Twoje odejście poniósł stratę niepowetowaną. Lat 45 pracy duszpasterskiej, pracy mozolnej i ciężkiej, to okres długi, — lecz ojcowskimi postępowaniem swoim zdołałeś zjednać sobie serca wszystkich zborowników, pożycie ze zbozem było zawsze jak najserdeczniejsze i najlepsze, byliśmy jak jedna rodzina.

Dziś kiedy odchodzisz na zawsze, a zatrzymać cię nie możemy, przyjmij przez usta moje od prezbyterstwa i od Twoich zborowników za Twoją wierną pracę, za wszelkie starania i dobrodziejstwa, które nam jako duszpasterz nasz wyświadczałeś, nasze najserdeczniejsze podziękowanie. Zapewniamy Cię, że imię Twoje i pamięć o Tobie w zborze naszym nigdy nie zaginie, a za wszystko, coś nam uczynił, dochowamy Ci dozgonną wdzięczność.

Nie było Ci danem, oglądać i słyszeć głosu dzwonów, które dopiero dziś rano nadeszły, a których sprowadzenie zawdzięczamy Twoim staraniom i wysiłkom. Żal nam bardzo, że głos ich nie może Ci towarzyszyć na tę ostatnią drogę, są one tylko niemymi świadkami naszej smutnej uroczystości. Ilekroć jednak głos ich rozlegnie się w zborze za wieży naszego kościoła, przypominać one będą zborownikom imię Twoje, drogi nasz duszpasterzu.

Idź w pokój, strudzony i spracowany, a w gronie Twoich zborowników, którzy Cię uprzedzili i których Ty odprowadziłeś do wiecznego odpoczynku, niechaj ta ziemia bystrzycka na cmentarzu tutejszym, która Cię niedługo przyjmie, będzie Ci lekka. A Ty, o Boże, daj słudze wiernemu, a naszemu drogiemu duszpasterzowi po dokonanej pielgrzymce błogie odpoczywanie.

Kazanie

ks. Karola Krzywonia z Nawsia.

Tekst: 1 Mojż. 48, 21: „Oto ja umieram a Bóg będzie z wami, i przywróci was do ziemi ojców waszych“.

W głębokim smutku i żalobie, oraz z przerażeniem w duszy patrzyli synowie na swego ojca Jakóba w ziemi egipskiej, gdy leżał na łożu śmierci, i z drzeniem wyczekiwali chwili, w której miała zgasnąć isierka jego życia. Dogorywający patriarcha Jakób z niewymownym bolem oglądał swoich synów, a każdemu z nich na drogę życia błogosławił, zaś do nich wszystkich razem rzekł: „Oto

ja umieram, a Bóg będzie z wami i przywróci was do ziemi ojców waszych". Temi słowy pożegnał ich ostatecznie, a wszelki ból, wynikły z tego pożegnania, śmierzyl i łagodził tą z Boga samego czerpaną obietnicą!

Podobnie smutną i gorzką chwilę, którą w Swej dziwnej radzie sporządził Wszechmocny, przeżywamy i my teraz u trumny tego naszego drogiego Patriarchy, śp. ks. pastora Karola Michejdy w Bystrzycy. Dokądkolwiek na tej drogiej śląskiej ziemi cieszyńskiej lub gdzieindziej dotarła wieść, że ks. pastor bystrzycki umarł, że serce Jego przestało bić, wszędzie wywołała przerażenie i głęboki żal. I każdy, kto mógł, bez względu na przekonania polityczne, wyznaniowe i narodowe, pośpieszył dziś nawet z najdalszych stron, aby kołem miłości, poważania, wdzięczności, przywiązania i przyjaźni otoczyć Jego trumnę i w tem ostatniem pożegnaniu się Jego z nami, a naszym z Nim czerpać z Boga samego pociechę i jasny promień światła w swe zbolale dusze.

W ostatnich latach przeżywa nasz ewangelicki Kościół na Śląsku gwałtowne wstrząśnienia przez śmierć swoich najlepszych sług i kaznodziei. To starsze pokolenie doświadczonych i w pracy wypróbowanych nauczycieli i mężów Bożych wymiera z roku na rok, a to w chwili, kiedy ich godność, ich powaga pracy i poświęcenia bardzo potrzebna, nie, konieczna jest naszemu Kościołowi. Bo ten Kościół jest obecnie podobny do okrętu samotnego na obszernem morzu, zagrożonego ze wszech stron mnóstwem niebezpieczeństw i gwałtowną burzą. Zaiste, dziwne są drogi Boże! Tak bardzo są oni nam potrzebni, a tymczasem nas opuszczają na zawsze, wstępując na drogę wieczności. Jeszcze się nie zagoiła rana zboru nawiejskiego, z którego wyszedł równo przed 2 tygodniami i 3 laty ś. p. ks. senjor Franciszek Michejda, gdy znów łaskawy Bóg zranil Twoje serce, bratni Zborze bystrzycki. Ty sam, a my wszyscy z Tobą znaleźliśmy się dziś u trumny Twego sługi Bożego, — a pozwolisz, że powiem ze serca nas wszystkich tak licznie zebranych, — Twego i naszego Patriarchy. Jak dzieci Jakóba, tak my dziś z miłością i czcią najgłębszą żegnamy w Nim swego Patriarchę.

Imię Patriarchy nosili w początkach dziejów narodu izraelskiego wszyscy ci mężowie Boży, którzy swem życiem i pracą zaważyli na szalach bytu swego narodu, otoczenia i najbliższej swej rodziny. Znamy ich imiona, począwszy od Abrahama, a skończywszy na proroku Mojżeszu! A takim imieniem możemy spokojnie nazwać także ś. p. zmarłego Sługę Bożego, gdy się mu przypatrzymy ze względu na Jego rodzinne stosunki, czy też nasze stosunki kościelne, zborowe i rodzime polsko-śląskie.

Życie człowiecze, to jest jeden cudowny i tajemniczy, zamknięty w sobie świat, znany dobrze samemu Bogu. Zatem żadnemi nieudolnemi słowami nie potrafimy zgłębić i ocenić wielkiego znaczenia

życia i tego Zgasłego. Dopiero Jego brak da nam to boleśnie odczuć. Treściwe życie i niezmordowaną pracę ś. p. Księdza pastora bystrzyckiego możnaby przyrównać — o ile nam wolno użyć porównania — do cichego i głębokiego strumyka, który żłobi powoli i nieznacznie swoje łożysko i brzegi, a czystym swym źródłem krzepi spragnionych przychodniów. Kto nie umiał i nie chciał patrzeć, ten tego nie widział, kto zaś stał bliżej Niego, ten to spostrzegł i umiał ocenić.

A najbliższą każdego człowieka jest jego własna rodzina. Ś. p. ks. pastor urodził się jako syn rolnika w Olbrachicach dnia 4 grudnia 1855 roku. Zatem wypełnił 68 lat życia. Po ukończeniu ewang. szkoły w Olbrachicach i studjów gimnazjalnych w Cieszynie, kształcił się jako teolog w Wiedniu i Zurychu. Osierociały wcześniej, znalazł dom w domu swego starszego brata, ks. seniora Fr. Micheidy na farze w Nawsiu. Tam też w zborze nawiejskim jako młody teolog pomaga w nauce religii i w innej pracy zborowej. A kiedy po śmierci ks. Oskara Kotschego, pastora bystrzyckiego, i po dyktowaniu z góry ustąpieniu jego wybranego następcy ks. pastora Jerzego Badury z Górnego Śląska, zbór bystrzycki szukał nowego sługi Bożego, powołał sobie w roku 1879 z Nawsia ks. pastora Karola Michejdę, który tu od 24 roku życia aż do swego zgonu, przez 45 lat wiernie jako cichy sługa pracował. Z małżonką swoją, czcigodną panią pastorową Marią z Scholtisów z Cieszyna, dzielił życie przez 45 lat. Wychowali 3 synów, 1 córkę, która przedwcześnie w kwiecie życia uprzedziła ojca do wieczności, i kilkoro wnucząt.

Gdy spojrzymy z wyższego stanowiska na wszelkie życie w tym świecie, poddanym tylu zmianom, z jakiego patrzy sam Bóg nieśmiertelny na lata i pracę człowieka, tedy powiemy: Chwilka to tylko, a „gdy ta pominie, tedy prędko odlatujemy“. Nie wolno nam dzieciom Bożym, roszczącym sobie prawo do takiego imienia, osądzać swego życia tylko na podłożu ziemskich stosunków, lecz na tle wieczności, której panem jest sam Najwyższy! A gdy to uczynimy, przychodzimy do poznania, że życie ojca nie tylko do rodziny należy, ale przede wszystkim do samego świętego Boga. On je dał, On je znowu wziął! Z tej też myśli ośmielam się i do Was wszystkich, Czcigodna Rodzino zasmucona, zacna pani Pastorowa i wszyscy Krewni tego zgasłego Waszego Ojca — patriarchy — wyrzec te Jakóbowe słowa pożegnalne, pełne pociechy: „Oto ja umieram, a Bóg będzie z Wami!“ Bóg zagoi wszystkie rany, On wspomże, On opatrzy! Gorącym życzeniem w starości tego Ojca-patriarchy było, aby mógł spokojnie i świadomie umrzeć, bez długich cierpień w pośród samej pracy, niepostrzeżenie i lekko. A tę prośbę Jego wysłuchał łaskawie miłosierny Bóg i przeniósł Go do Swego odpocznienia i radości.

Patriarcha umarł także swemu Kościołowi. Ś. p. zgasły ks. Pastor był najstarszym wiekiem z pośród wszystkich księży pastorów na Śląsku Cieszyńskim z tej i tamtej strony granicy, dzielącej nasz kraj i nasze zbory. Żadne ważne rozstrzygnięcie w sprawach naszego Kościoła ewangelickiego nie zapadło bez Jego porady, bez Jego doświadczenia. Pracując dla dobra całego ewangelickiego Kościoła, przyczynił się do pomnożenia religijnej literatury przez wydanie kazań ks. W. Raschkego, przez współpracę nad postylą ks. Otto, nad modlitewnikiem ks. Trzanowskiego i pracę w różnych pismach kościelnych.

Szczególnie opiekował się obok swojego zboru zborom nawiejskim przed 3 laty jako administrator, zborom trzynieckim, a także błędowskim. Żyjąc lepszą przeszłością, którą poznał w latach młodości, patrzył z obawą na obecne i przyszłe wzburzone czasy, które może poprowadzą Kościół Chrystusowy drogą męczeństwa. Od wszelkiego zła Kościoła, objawiającego się pod postacią niedowiarstwa, gryzącego jego korzeń, odwracał się z bólem w sercu. I tak nas zostawił i zdaje się teraz mówić: „Radźcie sobie sami, bracia, jak możecie, ale wiedźcie: Oto ja umieram, a Bóg będzie z wami”. Wielka nam dana w tem słowie pociecha: Choć Bóg w Swej mądrości odmienia jak szatę sługi w Swym Kościele, to On nie opuści ani ich, ani Swego Kościoła, któremu dał obietnicę, że bramy piekielne nie przemogą Go!

Powiada apostoł Paweł o sługach Słowa Bożego: „A tegoż więc szukają przy szafarzach, aby każdy znaleziony był wiernym“ (1 Kor. 4. 2). A takim wiernym szafarzem w swoim zborze bystrzyckim, wiernym sługą Bożym i sługą swych zborowników był ś. p. zmarły ks. pastor tutejszy. Może każdy zborownik poświadczyć, że wszystkim w równej mierze według Łaski Bożej, jaka mu była dana, pragnął aż do końca służyć, nikt nie był mu za niski. A służył wiernie Słowem Bożem z tego miejsca, zawsze starannie na kazanie przygotowany, służył udzielaniem św. sakramentów душom łaknącym, służył pociechą ze Słowa Bożego tylu strapionym, służył radą szukającym pomocy, również dobrami tej ziemi wszystkim biednym i opuszczonym. Zawsze znalazł dla wszystkich czas potrzebny, pomimo że był obarczony nawałem pracy kancelaryjnej i pełnił służbę w zborze rozległym i blisko 10.000 dusz liczącym. Z ujmą własnego spoczynku poświęcał czas i siły swoim zborownikom. Odkąd w roku 1902 powstał zbór trzyniecki, ubyło o $\frac{1}{4}$ części pracy, a z nią i sił. Ustawiczne jazdy na odległe cmentarze bez względu na pory roku i stan pogody nie miało przyczyniły się do nadwężenia zdrowia. Starsi zborownicy bystrzyccy będą pamiętali jeszcze dobrze, jak na wiosnę w roku 1886 cudem opatrności Bożej powstał ś. p. ks. Pastor z ciężkiej choroby na tyfus. Pan Bóg wyrwał i zachował go aż dotąd, aby mógł wśród was pracować.

W tej pracy zdarł siły swoje i życie wam poświęcił, a nagrodą waszą za to? Chyba stała wdzięczność. Ponieważ służba każdego sługi Bożego w zborze, aczkolwiek wzniosła, jest bardzo niewdzięczna, pozbawiona widzialnych owoców a pełna nieraz goryczy, zaś dusza ś. p. Zgasłego ks. Pastora była — jak całe jego życie — prostą, szczerą i otwartą, niemało przeszło przez nią bólu, skarg, niemało towarzyszyło jej westchnień i modlitwy! Zwłaszcza ostatnie miesiące nacechowane były znacznem cierpieniem wewnętrznem, jaki wywoływała niecierpliwość nierozumnych zborowników w sprawie nowych dzwonów. Wszelka niewdzięczność, nieszczerłość i złośliwość tak bardzo go gniotła, że zniechęcony był do tego świata i powiedział: „Byleby dzwony przyszły, to ja spokojnie umrę!“ A jakby przeczuwał krótki czas działania, postarał się o nowe organy, dbał o uregulowanie gospodarki zborowej a w końcu wiernie pilnował sprawy dzwonów. Dzięki Jego staraniom dzwony nadeszły — lecz cóż, kiedy ks. pastor odszedł. Żegna Ciebie, drogi bracie i następco, a dziękując za współpracę, powiada z apostołem Pawłem: „Bądź czułym we wszystkim, cierp złe, wykonywaj uczynek kaznodziei, usługiwania twego zupełnie dowódź!“ (2 Tym. 4, 5). Żegna Ciebie, czcigodny kuratorze, prezbiterstwo, całe zastępstwo zborowe, wszystkich braci i siostry w Panu, słowem cały zbor: „Oto ja umieram, a Bóg będzie z Wami!“ Pamiętaj na wodzów, którzy ci opowiadali słowo Boże. Tem Słowem Bożem się rządz, niem żyj, boć ono chlebem Twego żywota. Nie puść dziedzictwa ojców swoich, a naśladowaj wiernie stóp swego Patriarchy, który przez 45 lat stał na straży twego życia, obyczajów, szczęścia doczesnego i wiecznego!

W końcu musimy jeszcze na jedno zwrócić uwagę. Kiedy patriarcha Jakób umierał w Egipcie, to swe dzieci cieszył słowy: „A Bóg będzie z wami i przywróci was do ziemi ojców waszych.“ Widać z tych słów, jak bolesnem było mu umierać wśród obcych, zdala od ojczyzny, ziemi obiecanej. On umiłował ziemię ojczystą, każdym nerwem swego serca z nią się zrósł i swe dzieci-wygnance zapewniał o szczęśliwym powrocie do ojczyzny.

A jako Jakób, tak każdy z późniejszych proroków ludu Izraelskiego, mężów Bożych, ukochał swą ziemię ojczystą i swój lud i bronił spraw tego ludu do upadłego i z tym ludem cierpiał, a nad jego grzechami bolał. Ilekroć lud Izraelski zaczynał kłaniać się obcym baalom, a gardził sobą, tylekroć z ust proroków padały napomnienia w odniesieniu do tego ludu, ostrzeżenia, aby swem postępowaniem nie ściągał na się srogiego bicia Bożego. Bo wszelki grzech wróci się na tego, kto go popełnił. Idąc śladem Jakóba i proroków, także i ten nasz Patriarcha, ś. p. ks. pastor Karol Michejda, nie tylko służył Bogu jako wierny sługa, lecz także w swem sercu piastował sprawę swego ludu polsko-ewangelickiego na swej Cie-

zyńskieji ziemi ojczystej, stawiał ją zawsze na świeczniku. A jak tę ziemię ojczystą umiłował, świadczy choćby i ten zewnętrzny fakt, że jej łany uprawiał, choć to nie było jego powołaniem. A ponieważ i ten jego lud polski na tejże ziemi jest niejednokrotnie podobny do ludu Izraelskiego, kłaniającego się baalom, przeto wielce nad tem bolał, a możemy rzec, poznawszy jego duszę bliżej, że to był jeden z wielkich ciosów, który osłabił i złamał Jego serce.

Na świadectwo prawdy jego życia niech mi z tego miejsca wolno będzie powiedzieć, że miał charakter czysty i niezłomny, i dlatego wolał uciepieć zelżywość i upodlenie, niż zaprzeć się swej ziemi i pochodzenia, swego polsko-ewangelickiego ludu i jego języka.

Oto Partiarcha umarł, wierny syn polskiego ewang. ludu i jego prawdziwy Nauczyciel, którego pamięć przejdzie do dziejów Kościoła i ludu polsko-ewang. na Śląsku Cieszyńskim, a pozostanie żywą w całym społeczeństwie polskim.

Imieniem tego zboru bystrzyckiego niech będzie dane szczere podziękowanie wszystkim za wzięcie tak licznego udziału w pogrzebie i w oddaniu ostatniego hołdu tego zboru Pasterzowi. Szczególnie dziękuję przedstawicielstwu naszych władz politycznych, wszystkich zborów, stowarzyszeń, zakładów, słowem wszystkim, którzy bez względu na różnice przekonań politycznych, religijnych i narodowościowych pośpieszyli na pogrzeb.

Jak dzieci Jakóba w żywej pamięci zachowały swego Ojca, i pocieszone odprowadziły go do jego grobu, tak też i my chcemy Cię odprowadzić do Twego grobowego odpocznienia, drogi Patriarcho nasz, i sercem wdzięcznem za wszystko, czem dla nas wszystkich się stałeś, serdecznie podziękować Panu i Bogu.

I my cię ze swej strony żegnamy słowy: „Błogosławieni są odtąd umarli, którzy w Panu umierają, zaprawdę mówi Duch im, aby odpoczywali od prac swoich“. — Amen.

Kazanie

ks. pastora Unucki z Ligotki Kameralnej.

Żyd. 13, 7.

Z wież kościołów naszych na ziemi śląskiej czarna żałobna chorągiew wywieszona. Wiatr nią smętnie powiewa. Z wież kościołów naszych na ziemi śląskiej żałośnie jęczą dzwony w szeroką pustą dal. Co znaczą te chorągwie, co znaczy jęk dzwonów żałosny? Ach, z daleka przybyłym, obcym przychodniem musiałbyś być, gdybyś o to pytał. Cały śląski ewangelicki lud odczuwa boleśnie, że te żałosne jęki dzwonów unoszą gorycz i ból serca naszego tam w górę ku niebiosom, unoszą skargę tęskną i pokorną prośbę przed Boży tron. aby nam dał pocieszenie w dotkliwej stracie nieodżało-

wanej świętej pamięci ks. proboszcza Karola Michejdy, pastora bystrzyckiego.

W żałobie przyszlśmy na jego pogrzeb i chcemy sobie po krótkce uprzytomnić zewnętrzne daty jego żywota. Według kroniki, w której o sobie pisze, urodził się ś. p. duszpasterz nasz w Olbrachicach dnia 4 grudnia 1855 roku. Uczęszczał tamże do szkoły ludowej ewangelickiej, potem do gimnazjum w Cieszynie, a studia uniwersyteckie odbywał we Wiedniu i w Zurychu w Szwajcarii. Osierociał wcześniej, znalazł dom w domu ś. p. brata swego starszego, ks. Seniora Franciszka Michejdy w Nawsiu. Stąd dnia 4 grudnia 1879 roku, a więc jako dwudziestoczteroletniego młodego pastora przewieźli go prezbyterowie i zastępcy zborowi zboru bystrzyckiego na mieszkanie do Bystrzycy w uroczystym orszaku i przyjeźli uroczyście w kościele i na farze. W 3 niedzielę adwentową odbyła się w uroczysty sposób jego ordynacja i instalacja i odtąd przez 45 lat wiernie i z zaparciem się samego siebie służył zborowi bystrzyckiemu, pracując we winnicy Pańskiej, otaczany czcią, poważaniem, przywiązaniem i miłością zborowników, o której ze wzruszeniem i wdzięcznością w pamiętnikach swoich wspomina.

Był piątym pastorem zboru bystrzyckiego od czasów powstania tego zboru i jako wódz duchowy trzody Chrystusowej stanął na wyżynie, równy w godności swoim poprzednikom ś. p. księżom Paulinim, starszemu i młodszemu, głośniejszej pamięci ks. Raschkemu Wilhelmowi i ks. Oskarowi Kotschemu.

Dziwny zbieg okoliczności. Co trzeciego pastora bystrzyckiego anioł śmierci w lutym zabiera. Dnia 15 lutego 1805 roku zmarł pierwszy pastor bystrzycki, ks. Paulini; dnia 24 lutego 1855 roku zmarł trzeci pastor bystrzycki, ks. W. Raschke, lekarz duszy i ciała, a 26 lutego b. r. piątego pastora śmierć porwała. Jeszcześmy nie zdołali przeboleć straty nieodżałowanej pamięci ks. Seniora Fr. Michejdy, zmarłego też w lutym przed trzema laty, a już znów nowa strata krwawi serca nasze.

Ś. p. drogi duszpasterz nasz osierocił nie tylko zacną swą wierną małżonkę, nie tylko synów swych i wnuki swoje, nie tylko zbór swój; on osierocił wszystkich nas, cały ewangelicki polski lud na Śląsku, którego był najstarszym wodzem duchowym ostatnimi laty.

Jako dzieci za ojcem przyszlśmy tu tak licznie, że ani mury kościoła nie mogły nas pomieścić, ale czujemy potrzebę przynajmniej tu przed bramami kościoła dać wyraz swojej żałobie. O bo teraz w całej pełni pokazuje nam się, jak wiele tracimy. Jakóż mnie niedoświadczonemu osądzić ogromną wartość charakteru ś. p. ks. pastora zgasłego. Zmarł w ks. pastorze niezrównany, znakomity kaznodzieja, który potrafił swym darem wymowy i mocą przekonywania trzymać na uwieży uwagę słuchaczy i błogosławiony wpływ

wywierać na ich dusze. A według słów, które głosił, żył także życiem czystym, nieskazitelnym w rodzinie, w domu, ze zborownikami i wszystkimi ludźmi, stając się żywym przykładem życia chrześcijańskiego, który to przykład więcej działa, niż najwznioślejsze kazanie, jeżeli ze słowy kaznodziei nie idą w parze czyny. A któż ocenić zdoła jego cichą pilną pracę, której poświęcił się w pisaniu ksiąg, broszur, artykułów, przez które oddziaływał dodatnio na szerokie koła ludu naszego poza obrębem wielkiego jego zboru!

Przejęty gorącą miłością do ludu ewangelickiego śląskiego i jego dziejów, był dla nas młodszych prawdziwą „arką przymierza między dawnymi i nowymi laty“. Z zapomnienia ludzkiego wyratował niejedno cenne zdarzenie w kościele naszym, utrwalając je na piśmie.

Zawsze został wiernym temu, czem się urodził, — ewangelikiem polskim, a ta wierność na drogę męczeństwa przywiodła go przed pięcioma laty. Dziś męczeństwo jego wspominamy i mówimy:

Ach, była to jego Golgota!

Cudem go Pan wyrwał z choroby, w jaką popadł z tego powodu, i darował nam go jeszcze na te kilka lat.

Napisane jest o Mojżesz, że gdy umarł według słów Pańskich, sam Bóg go pochował w dolinie moabskiej. Myślę, że dlatego go sam Bóg pochował, bo nikt z ludzi nie był godnym pochować tego wielkiego wodza. A podobnie i ja, najmiłsi, odczuwam to w całej pełni, że nie jestem godzien mówić na pogrzebie ukochanego wodza naszego. O zaiste był on wodzem. Mojżesz przez 40 lat wiódł lud swój do ziemi obiecanej. Ś. p. duszpasterzowi użyczył Bóg przez 45 lat prowadzić trzodę Bożą do Zbawcy dusz naszych. Mojżesz czynił cuda. Uderzył laską o skałę, a strugi wody żywej trysnęły. Podobnie wierny duszpasterz słowem swoim w kazaniach uderza o twardą opokę serca ludzkiego, aby z niego wytrysnęły strugi wody żywej, wyskakującej ku żywotowi wiecznemu. Mojżesz mocą modlitwy swojej ziemię pustynną pokrył chlebem z nieba, manną, którą się lud jego karmił długie lata. Wierny duszpasterz, wódz trzody Chrystusowej, tak samo czyni. Karmi chlebem z nieba, to jest słowem Bożem i św. sakramentami dusze zgłodniałe, a pokarm ten słodszy nad miód i sytszy nad chleb. Mojżesz tylko do ziemi Moabskiej doprowadził lud swój. Tam umarł, nie przeprowadziwszy ludu za Jordan do ziemi obiecanej, prawowitej ojczyzny Izraela. Na granicy był grób jego. Tak też na granicy wykopany grób ś. p. ks. pastora naszego, któremu nie było danem, wprowadzić ludu swojego do ojczyzny, sercem umiłowanej.

A jak o Mojżesz napisano, że nie zaćmiło się oko jego ani się naruszyła czerstwość jego do samej śmierci, tak możemy i o ś. p. duszpasterzu naszym powiedzieć te słowa. Nie zaćmiło się oko jego,

ani się naruszyła czerstwość jego. Do ostatniej prawie chwili pracował, a dziś my to rozumiemy, co było jego celem w ostatnich latach życia.

Chciał po sobie kościół pozostawić w najlepszym stanie, przyozdobiony i zaopatrzony we wszystko, co mu wojna zabrała. Dach kościoła z daleka widnieje piękną przykrywą. Już trzeci raz za życia jego został pokrywany, najpierw gontami, potem łupkiem, teraz eternitem. Organy nowe sprawiono zeszłego roku za jego gorliwym staraniem, a na poświęceniu ich powiedział ś. p. ks. pastor nasz, że jednego jeszcze chciałby się dożyć, zanim umrze, mianowicie nadejścia nowych dzwonów, które w zaciętym uporze bezprawnie nam tak długo zatrzymywano. O jak on się tem truił, jak martwił. jak bolał, że wszystkie starania nasze, aby je dostać, szły na marne! Często się żalił przedemną jako towarzyszem tego samego losu. We wtorek minął tydzień, jak dostaliśmy wiadomość, że dzwony wysłane. Ks. pastor nasz nie mógł się ich doczekać i puścił się do Bogumina. Tam na granicy tęsknie ich wyglądał. Chciał je zobaczyć, ich widokiem się rozradować, niestety dzwonów jeszcze nie było. Przeczuwając nowy zawód, nowe rozczarowanie, wrócił znękany, strapiony, schorzał do domu. Kiedy tego samego wieczoru nadszedł telegram, że dzwony do Bogumina wieczorem nadeszły, wiadomość ta zastała ks. pastora już gorączkującego.

Ale mimo gorączki chwycił za pióro i napisał do firmy podziękowanie za wiadomość, zaznaczając, że w gorączce leży. Czytano mi dnia następnego to pismo w Boguminie. Ach jak on tych dzwonów tęsknie wyczekiwał! Dożył się tylko wiadomości, że dzwony nadeszły, ale dzwonów już nie oglądał.

Zborze bystrzycki! Przywieziono dziś rano dzwony twoje a po południu twojego pastora odwożą. Ani mu na pogrzeb zadzwonić nie mogą. W milczeniu patrzą te dzwony na trumnę tego, który ich z bólem wyczekiwał.

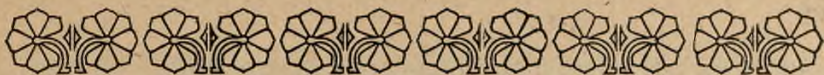
Zborze bystrzycki! Dzwonić będą dzwony twoje z tej wysokiej wieży odtąd po wszystkie przyszłe lata. Z ich dźwięku wysłyszysz jakby jęk żaloszny, jakby skargi, łkania, płacze. jakby dusza żałośnie kwiliła — o usłyszysz, usłyszysz, gdy się dzwony rozkołyszą na twej smukłej wieży. A wtedy, zborowniku bystrzycki i zborowniczo bystrzycka, gdy cię dziecię twoje lub wnuk twój zapyta: Ojciec, matko, starzyku, co w tych dzwonach tak kwili, tak płacze? — to mu opowiedz tę smutną historję, a powiedz na wieczną rzeczy pamiątkę: W naszych dzwonach jest zaklęty jęk duszy naszego pastora, bo z boleścią ich oczekiwał, ale nie doczekał za swego żywota.

Zborze bystrzycki! Niech ciebie ten głos dzwonów jako ostatnie słowo pastora twojego, wcielone w twarde kruszec, wieździe i po jego śmierci do Tego, do którego cię przez całe swe życie prowa-

dził, do Jezusa Chrystusa, Zbawcy naszego. Umilknął na zawsze miły głos pastora twojego. On głos swój tym dzwonom przekazuje. „Pamiętajcie na wodzów waszych, którzy wam mówili słowo Boże, których obcowania koniec upatrując, naśladowcie wiary ich“.

Tu opodal na cmentarzu, gdzie prochy ojców waszych, spocznie obok najdroższej swej córki ciało kochanego naszego duszpasterza aż do dnia chwalebnego zmartwychwstania. Tam opodal sina wstęga rzeki Olzy. Jak płynęły, płynąć będą jej wody het do morza. Nad grobami na cmentarzu drzewa szumieć będą za powiewem wiatru. Pamiętajcie na wodzów waszych! Niech z tego szumu drzew cmentarnych i z tego szumu płynących fal Olzy nie przebiega żalosna skarga, którą się żali pieśń nasza o Olzie, że ci „ludzie na jej brzegu zmienili się bardzo, zwyczajami swoich przodków ledwie że nie gardzą, że tu człowiek pięknej mowy przodków nie rozumie“. O niech ten grób stoi na straży sumienia waszego. Oby nad tym grobem po wieczne czasy słyszana była droga nasza polska mowa, za którą ś. p. duszpasterz nasz stał się męczennikiem. Kto macierzystą mową swoją gardzi, wzgardzi też i wiarą. „Pamiętajcie na wodzów naszych, którzy wam mówili słowo Boże, których obcowania koniec upatrując, naśladowcie wiary ich“. Amen.





Poświęcenie dzwonów

dnia 6 kwietnia 1924.

Przemówienie poświęcalne

pastora miejscowego ks. Franciszka Buchwałdka.

Laska i pokój niech wam będzie od Boga, Ojca naszego, i Pana Jezusa Chrystusa!

Zanim o nowych dzwonach mówić będę, wspomnę o dzwonach starych słów parę:

Pierwsze dzwony, które nasz kościół zdobyły, pochodziły z fabryki Schwabego z Białej, zamówione zaraz po uzyskaniu wolności religijnej w 1849 roku. Były to początkowo dwa dzwony; większy, ważący 2q z napisem: „Ewang. wolność religijna w Bystrzycy 1849“, i mniejszy 1q z napisem: „Niech żyje konstytucja w Austrii“. Wiisały one początkowo na prowizorycznem rusztowaniu między kościołem i szkołą. Dopiero po wybudowaniu wieży w roku 1850 przeniesiono je na właściwe miejsce. Za lat dziesięć, w roku 1860 zamówiono trzeci dzwon we Wiener-Neustadt. Miał ważyć 4q i nosił napis: „Jeśli Bóg z nami, któż przeciwko nam“. Poświęcenia tego dzwonu dokonał swego czasu ks. Terlica z Goleszowa, a kazanie uroczystościowe wygłosił ks. Żlik z Cieszyna na temat: „Jako przez dzwon i kielich buduje się — Wiara — Nadzieja — Miłość“.

W roku 1873 pękł średni dzwon, wobec czego zakupiono nowy, znowu we Wiener-Neustadt. Na dzwonie tym wryto napis: „Czujcież i módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie“. Te dzwony służyły aż do wojny.

Nadeszła wojna. Niezliczone ofiary ponosił nasz lud. Baliśmy się biedy, głodu, a o dzwony nikt się nie obawiał. Bo nikt nie przypuszczał, by tak daleko sięgnąć mogło zniszczenie wojny. Nie tylko kraje zamieniono w pustynię, nie tylko synowie, bracia i ojcowie kładli życie na wojnie i gdzieś daleko w grobach spoczywają, zaś inwalidzi stracili tam swe zdrowie i siły — nielitościwa ręka wojny sięgnęła i na wieże naszych kościołów, by zerwać stamtąd dzwony, które bez przestanku przypominały nam Boże przykazanie: „Miłujcie nawet nieprzyjaciół wasze“.

Ze wszystkich stron zbiegli się ludzie na wieść, że dzwony będą z wieży zabierali. Zadzwoniono niemi po raz ostatni, poczem nastąpiło łamanie i rozbijanie ich we wieży. Wydawały dźwięk, płacz i jęk umierającego. Było to 9 sierpnia 1916. Pozostał jeszcze dzwon

największy, ale i ten zabrano ostatecznie 23 października 1917 roku. Od tego dnia kościół i wszystkie kaplice cmentarne naszego zboru pozostały nieme, milczące. Smutne to były czasy zupełnego wyćieńczenia wojennego. Wówczas to ś. p. ks. pastor Karol Michejda, dowiedziawszy się, że dyrektor huty trzynieckiej, inżynier Poech,



Kościół bystrzycki.

powziął myśl ulania dzwonu dla kościoła w Trzyniecu, pojechał do niego z prośbą o dzwon dla Bystrzycy. Przywieziono go 11 marca 1918, a 13 marca zawieszono we wieży. Dzwon ten, posiadający bardzo piękny i dźwięczny ton, służył do ostatnich dni.

Dzwony nowe.

Gdy nareszcie w roku 1918 wojna się skończyła, zaczęli wierni, troskliwi o kościół zborownicy bystrzyccy myśleć o zakupieniu

nowych dzwonów. Jakkolwiek najpierw konieczne trzeba było dać nowe pokrycie na kościół, nie zapomniano i o dzwonach. Najgorliwiej sprawę tę zastępował ś. p. ks. pastor K. Michejda. Gdyśmy zaś usłyszeli dzwony trzynieckie, powstało jednomyślne pragnienie sprowadzenia takich samych dzwonów do Bystrzycy. Po dłuższych informacyjnych korespondencjach zamówiono je ostatecznie dnia 27 marca 1922 roku. Fabryka zapewniła, że o ile odlew się uda, będą gotowe w przeciągu dziesięciu miesięcy. To też już pod jesień 1922 roku chodziliśmy za składką. Zaznaczam przytem, bo widać z tego zapał i miłość dla dzwonów, że znowu za składką osobiście chodził sam zgasyły ks. pastor przez cztery dni. Oprócz tego chodzili razem z ks. pastorem Michejdą i ze mną panowie prezbiterowie, nie zważając nieraz na niepogodę, ani na wysoki śnieg. Zaś wy zborownicy zawsze i wszędzie przyjmowaliście ochotnie i dawaliście wielkie dary, mówiąc: „Aby też darmo nie chodzili“. Tak więc, mimo wielkich stosunkowo kosztów, bo samo pozwolenie na przywóz kosztowało 8000 Kcz, stolec zaś żelazny około 12.000, cło i fracht blisko 11.000, a dzwony niemal 20.000 Kcz, mimo to spodziewamy się, że ze składki i dzisiejszej ofiary wszystkie koszta popłacimy.

Niestety w roku 1922 dzwony nie nadeszły. Odlew najmniejszego dzwonu nie udał się i musiano odlewać go trzy razy. To niepowodzenie odwlekło sprawę do lutego 1923 roku, i właśnie dzwony były gotowe do odejścia, gdy niespodziewanie Francuzi zajęli zagłębie Ruhry i Bochum.

Początkowo fabryka pocieszała nas, że okupacja nie przeszkodzi wywózowi dzwonów, jednak wnet stosunki w zajętem terytorjum tak się zaostrzyły, że o nadejściu dzwonów nie było mowy. Niemcy bowiem zaczęli stosować tak zwany bierny opór, nie słuchali zarządzeń władz francuskich i nie mówili wogóle z nimi. Gdyby fabryka była wniosła prośbę do władz okupacyjnych, byłyby one bez wszystkiego zezwoliły na wywóz. Niemcy jednakowoż tego nie uczynili, a wymawiali się na okupację. Wobec tego władze francuskie same ogłosiły wszystkim konsulatom, że towary zamówione w zagłębiu Ruhry i zapłacone można otrzymać, jeżeli się tylko wniesie prośbę do władz okupacyjnych w Essen. Ś. p. ks. pastor Michejda zaraz wniósł taką prośbę przez konsulat czeski w Paryżu. Pozostała jednak bez odpowiedzi. W Paryżu w ministerstwie spraw zagranicznych interwenjowała w tej sprawie w lecie roku 1923 podczas pobytu w Paryżu pani Wilma Morgan i pani prof. Buzkowa z Cieszyna. I te interwencje nie przyniosły pożądanego rezultatu. Na zapytanie, skierowane do fabryki, co czynić wypada, otrzymał ks. Michejda odpowiedź polecającą, aby zwrócono się do syndykatu węglowego w Essen. Zaś w następnym liście z fabryki radzono, że najlepiej spokojnie czekać, aż bierny opór ustanie. W ten sposób

przedstawiałaby się w krótkich słowach historia dzwonów. Chciałbym jeszcze dodać, że dzwonów tych z wielką niecierpliwością oczekiwali nie tylko ś. p. ks. pastor, ale cały zbór. Ale że wielu zborowników nie rozumiało, a drugie tyle nie chciało zrozumieć przyczyn zwłoki, zaczęły krążyć różne domysły i plotki, zatruwające ostatnie chwile życia ś. p. ks. pastora Michejdy. Na każdym kroku trzeba było odpowiadać na pytanie: „Co słysząc z dzwonami, czy przyjdą? kiedy przyjdą? czy ich Francuzi nie sprzedali jeszcze?” Pytania takie, a przytem ciągle niepowodzenia wszystkich podejmowanych kroków przyczyniły niemało troski sędziwemu już księdzu, który niczego nie zaniedbał, by jak najprędzej dzwony dostać. Wreszcie ustała walka między Francuzami a Niemcami. Ustał też bierny opór. Fabryka sama wniosła prośbę do władz okupacyjnych i dzwony już, już miały nadejść. Kilka razy jeździł ks. pastor Michejda sam do Bogumina. Ostatni raz wyjechał jakby na pewne dnia 19 lutego tego roku. Był przekonany, że w najgorszym razie dowie się czegoś pewnego o dzwonach. Tymczasem i tym razem zawiódł się. Ostatniego tego zawodu nie wytrzymało już niestety to serce stroskane. Wprawdzie w tensam dzień dowiedział się po powrocie do domu z listu, że dzwony już z Bochum wysłane, jednak kładąc się w gorączce do łóżka, mówił ze smutnem przecuciem: „Czy je też jeszcze zobaczę?” A w trzeci dzień choroby, licząc się z możliwością śmierci, wyraził życzenie, byśmy mu zadzwonili nowemi dzwonami, gdy będą gotowe.

Nadeszły wreszcie dzwony, nadeszły w najcięższej dla zboru chwili, w dzień pogrzebu ks. K. Michejdy. I mimowoli ciśnie się pytanie, dlaczego nie było mu danem, za jego miłość i trud dla dzwonów, tych dzwonów oglądać? O jakóż niezbadane są rzady Boże!

Teraz chciałbym jeszcze w kilku słowach podziękować wszystkim mającym udział w tych nowych dzwonach. Najpierw więc należy się szczerą wdzięczność i serdeczne podziękowanie Wnej Dyrekcji hut trzynieckich, która przeprowadziła roboty w wieży i wyciągnęła dzwony na miejsce ich przeznaczenia. Stało się to dzięki przychylności pana dyrektora inżyniera Kundla, za co składamy mu serdeczne dzięki. Roboty z polecenia huty wykonywał pan budowniczy Ullrich z Trzyńca przez swoich robotników: palera Jana Trombika z Kojkowic. Pawła Wojnara z Wielopola, Jana Szlaura z Jabłonkowa, Pawła Pilcha z Nydku, Adama Szmeka z Nawsia, Jana Konderli z Nydku i Józefa Klimusia z Bystrzycy. Wszystkim serdecznie dziękujemy za wykonaną pracę. Przy przeładowaniu z wagonu wszelkiej pomocy udzielili nam panowie naczelnik stacji Hława i torowy wraz z personelem dworcowym. Ks. konseniorowi Oskarowi Michejdzie należy się podziękowanie za niejedną pomoc, jakiej nam radą i czynem udzielał. Za jego to osobistem wstawieniem się huta okazała gotowość wydzwignięcia dzwonów do wieży.

Dziękuję też serdecznie p. kuratorowi Ciemale za okazaną wielką gorliwość o dzwony w tych ciężkich dniach po śmierci ks. pastora Michejdy. Prezbiterom bystrzyckim Wałachowi, Ruszowi za pomoc i dogładanie prac, wszystkim wam braciom prezbiterom, zastępcom — wszystkim składam za pomoc i ofiarę na dzwony serdeczne podziękowanie: „Bóg zapłać!“

Módlmy się: Wszchemogący, Łaskawy Boże! Wielbimy święte imię twoje za dobroć, że kościół twój otaczasz po wszystkie wieki opieką twoją. Dziękujemy Ci, żeś nas zachował we wierze i miłości do przybytku Twego. Dziękujemy Ci, że pozwoliłeś zborowi twemu doczekać się nowej radości z nowych dzwonów. O niechaj ich głos w tym czasie smutku i zawsze zgromadza i obejmuje nas wszystkich ku Tobie jako matka dzieci swoje do siebie rękami tuli. Niechaj głos wiary, nadziei i miłości zbudzi te cnoty między nami, byśmy coraz doskonalszymi się stali. Niech ich głos zwiastuje nam Twoją łaskę i miłość w Jezusie Chrystusie, a ustrzeże od sądu. Amen.

Chciałem przedtem wszystkim podziękować za ich ofiary i trudy, poniesione dla naszych dzwonów. Lecz czy już wszystkim podziękowałem, czy nie opuściłem nikogo?

O, jakóż mamy podziękować Tobie, drogi księże Pastorze, który tam w mogile swojej śpisz a radości z dzwonów nie dzielisz z nami, jakóż okażemy Ci wdzięczność, jakąż damy Ci nagrodę?

Umiłowani, czy jest to możliwe, okazać wdzięczność swoją zmarłemu?

Ś. p. ks. K. Michejda kazał na nowych dzwonach wypisać, złe mówię, wyryć - wybić, by całe stulecia nie starły tych słów: wiara, nadzieja, miłość. To są jego słowa, jego dla zboru testament.

„Wiara, nadzieja, miłość, te trzy rzeczy, lecz z nich największa jest miłość“. Te słowa głosić i roznosić do waszych wiosek i do domów waszych będą te dzwony. Więc ilekroć je usłyszycie, wiedzieć, że to słowa zgasłego duszpasterza waszego żyją w głosie dzwonów. Wdzięczny przyjmie je do serca a ujawni w życiu. Te słowa głosić Wam będą pokój i szczęście doczesne i wieczne, jeżeli z wdzięcznością pamiętać będziecie głoszone Wam słowo Boże. Ale dzwony te prześladować będą każdego aż do grobu, co odwróci się od wiary ojców swoich, a pójdzie za naukami obcemi. Do takiej służby Bożej, dzwony, was przeznaczam i poświęcam w Imię Boga Ojca, i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Wiara, nadzieja, miłość.

Kazanie ks. Oskara Michejdy z Trzyńca w kościele bystrzyckim.

Wielu z Was przypomina sobie pewnie jeszcze dobrze ten dzień, w którym z nakazu władz przyszli tu żołnierze, zabrali najpierw dwa mniejsze dzwony, później i trzeci największy. Wojna

i twarde jej prawa, a może przytem i brak obrony ze strony władz sprawiły to, że wieża i tego kościoła na pewien czas zgoła zamilkła, bo dzwonek, który w zamian za piękne dzwony władze wojskowe nam odstąpiły, zabrany z wieży cmentarnej w Trzyńcu, był tak słaby, że go prawie słyszeć nie było. Miało się skończyć nie na tem, chciano nałożyć na zbór znacznie więcej ciężarów, o których zborownicy nic nie wiedzieli. Chciano nałożyć na pole zborowe hipoteczną pożyczkę wojenną, ale temu prezbiterstwo skutecznie się opierało. Pewnego razu przyszedł oficer, aby badać, z jakiego metalu zrobione są naczynia kościelne i lustry, a zobaczywszy, że świeczniki ołtarzowe zrobione są z cyny, wielką miał ochotę natychmiast je zarekwirować, razem z dzbanami komunijnymi i kielichem, który na początku istnienia zboru służył do komunii chorych. Temu oparł się skutecznie nieboszczyk mój ojciec, broniąc tych rzeczy przez długie tygodnie. Pomogła mu w tem niewielka pieczęć z herbem miasta Cieszyna, wyciśnięta na świecznikach. Władze wojskowe zadowolili się tym razem nieużywanym już, bo dziurawym dzbanem komunijnym. Innym razem przyszedł znów oficer aż z twierdzy krakowskiej i miał wielką chęć zarekwirować miedziane pokrycie waszej wieży. I temu ojciec się bronił, a pomagało mu przy tem to, że oficerowie, którzy tu przychodzili, — nie wiem, czy nie chcieli, czy też się bali wejść do wieży, aby zrobić dokładne pomiary. Wreszcie jeden już się gotował, aby tam iść, ale dowiedziawszy się, że trzeba tam iść po drabinach niepewnie stojących, i to jeszcze w ciemności, wołał z dołu na wieżę spoglądać. Dzwonów i organ uratować się niestety nie dało, chociaż opieraliśmy się i w tej sprawie, choćby w ten sposób, że chcieliśmy rządowi i władzom wojskowym dzwonów, względnie metali ich pożyczyć, a rząd miałby obowiązek wrócić nam znowu dzwony; gdy jednak inne zbory bez wszelkich zastrzeżeń dzwony swe darowały, gdy na zamiar zamknięcia kościoła odpowiedział nam oficer, że musiałby kazać drzwi siłą wyważyć, wtedy trudno było się bronić.

Dziwne to były czasy — gdy niedawno przeglądał pisma, któremi wtenczas zbory zasypywano, to znalazłem między innemi i wezwanie władz, by przy nabożeństwach zachęcać ludność do zbierania pokrzyw, z których chciano wyrabiać włókna i pokarm dla głodującej ludności, a obok tego i wezwanie, by kościoły darowały władzom wojskowym i powrozy od dzwonów, które stały się kościołom niepotrzebne, bo już dzwonów nie było. Wszystko miało służyć wojnie, nawet stare powrozy od dzwonów.

Opór nasz w tych sprawach był władzom znany. Dano nam do poznania, że kościół i zbór bystrzycki za mało wspiera akcję wojenną w kraju, dziwnie się, że nie zachęcamy na farze do podpiśywania pożyczek wojennych, wreszcie rozciągnięto nad nami i do-

zór policyjny. Pewnego razu przyszedli żołnierze przed farę i pod strażą wojskową przeprowadzono u ojca rewizję domową, szukając pewnie poszlaku zdrady stanu, taksamo jak to równocześnie, o tej samej godzinie, tylko z jeszcze ostrzejszą strażą zrobiono na farze w Nawsiu. Nie znaleziono nic, tak stryj mój w Nawsiu, jak i ojciec tu w Bystrzycy nie robili niczego w tajemnicy, władze polityczne widziały się zmuszonemi, przeprosić obu i dać zadośćuczynienie; uczynił to starosta cieszyński podczas nabożeństwa w kościele. Poznałem tę opiekę, którą nas otaczano, i ja, gdy mnie pewnego razu w drodze z Krakowa, gdzie odwiedziłem brata, w pociągu przyaresztowano i jako domniemanego szpiega prowadzono pod eskortą żandarma do Bielska. Skończyło się i to na niczem.

Poco to wszystko przypominam? Nie poto, aby siebie albo drugich chwalić, bo to wszystko nie było bohaterstwem, lecz aby przypomnieć te coraz więcej w dal uciekające czasy, a też i dlatego, aby wskazać, iż nie można było wszystkiego uratować. Robiono nam wtedy dość często zarzuty, że nie broniliśmy dzwonów kościołów i wież cmentarnych. Lecz gdy władze kościelne, wyznaczone nam przez państwo, nie poparły w niczem usiłowań zboru o zachowanie mienia zborowego, to cóż mógł wskórać wpływ prostych wiejskich pastorów?

Dziś jednak zbory powoli znowu wracają do stanu, w jakim ich zastała wojna. Dziś z Waszej wieży odezwały się znowu dzwony — oby ich głos już nie zamilkł. Chwalmyż Boga i wznieśmy w pieśni i modlitwie swe serca do Niego. Amen.

Pieśń 268. Modlitwa „Ojcze nasz“. Tekst: I. Kor. 13, 13: „A teraz zostaje wiara, nadzieja, miłość, te trzy rzeczy; lecz z nich największa jest miłość“.

„Wiara, nadzieja, miłość“, te trzy słowa odlane są na waszych dzwonach, jak gdyby hasło troiste, wskazujące nam to, czem każdy zbór chrześcijański i każdy Chrystusowy sługa jaśnieć powinien przed światem. A ponieważ dzwony te często do Was odzywać się będą i — da Bóg — głos ich nie tylko do Was, ale i do przyszłych pokoleń z tej wieży płynąć będzie, dlatego godzi się choćby krótką chwilkę rozmyślenia każdemu z tych słów poświęcić.

Wiara.

Czem jest wiara w życiu chrześcijańskim? Apostoł Paweł w przeczytanem słowie mówi, że z tych trzech cnót i cech chrześcijańskich największą jest miłość. Zapewne, tak największą, jak większem jest drzewo zielone, pięknie kwitnace i zdobne w owoce, od korzenia, który ukryty jest głęboko w ziemi. Ale bez tego ko-

rzenia drzewo skazane jest na zniszczenie, a gdy korzeń jest zdrowy, to choć drzewo zetniesz, korzeń ten znowu świeże wypuszcza pędy. Wiara, ten żywy stosunek człowieka do Boga, ta pewność, że Bóg nie tylko istnieje, ale że czuwa nad nami, że my do niego należymy już teraz tu na ziemi, że bez niego nie czynimy ani jednego kroku, nie wypowiemy ani jednego słowa, ta świadomość, że my w Bogu żyjemy i jesteśmy jego rodziną, jest podstawą i powinna być podstawą naszego życia. Może nas w życiu spotkać niejeden gorzki zawód, może nasza miłość być zraniona, tak jak zraniona była miłość ojca przez niewierność marnotrawnego syna, — jeśli wiarę zachowamy, to z niej na nowo wyrośnie, tak miłość, jako i radość i pokój, który odznaczać powinien każdego prawdziwego chrześcijanina.

Do utrzymania takiej wiary zachęcać was będzie, drogi zborze, głos waszych dzwonów. Niegdyś lud nasz ślaśniał taką zdrową i żywą wiarą i przyjąwszy słowo Boże i Ewangelię, głoszącą nam zbawienie przez łaskę i ofiarę Chrystusową, trwał w tej wierze niezachwianie. W wierze tej przetrwali przodkowie nasi prawdziwie ciężkie czasy prześladowania, gdy proste przyznanie się do kościoła ewangelickiego groziło często pozbawieniem dzieci, mienia i ojczyzny, w tej wierze przetrwali z górą sto lat połowicznej wolności, w wierze tej budowali własnymi siłami swe kościoły i szkoły, zakładali cmentarze, organizowali swe życie kościelne i przekazali nam znaczne i piękne dziedzictwo, słowo: Niemasz w nikim innym zbawienia, niemasz żadnego imienia pod niebem danego ludziom, przez którebyśmy mogli być zbawieni, tylko imię tego, który jako kamień wzgardzony jednak stał się głową węgielną: Jezus Chrystus.

Nurtują dziś w świecie i wśród naszego ludu różne prądy, odwracają się niektórzy od swego kościoła i kościołowi, tej matce, która całe pokolenia wychowywała w miłości dla słowa Bożego, to słowo w rękę nam włożyła, na niem czytać nas uczyła, tej matce zarzucają fałsz. W oczach jednych Synaj większe jest, niż Golgota, martwe kamienne tablice większe, niż krzyż i otwarty Chrystusowy grób; inni zaś głoszą, że trzeba i należy zarzucić wszelką wiarę i wychowywać młode pokolenia bez poznania i zrozumienia tej wielkiej odpowiedzialności, jaką każdy z nas ma nie tylko przed ludźmi, przed państwem i społeczeństwem, które przecież ciągle się zmieniają, ale przed Bogiem, który od wieków jeden i tensam nie zmienia się, ani nie chwieje. Wobec takich głosów niejeden nie wie, co ma czynić. Lecz bracia, my wiary naszej, ni nauki, opartej o wieczne Słowo Boże i miłość jego w Chrystusie nam dane, wstydzić się nie musimy. Jeśli nasz lud wiernie jej trzymać się będzie, to stanie się onym rodzajem wybranym, królewskim kapłaństwem, narodem świętym. Do tego zachęcać was będą głosy, które z wy-

zyn waszej wieży popłyną do waszych gór i dolin, dotrą do waszych domów, znajdą was ubranych odświętnie albo zajętych pracą codzienną, przypominając wam, że wiara jest gruntem tych rzeczy, których się spodziewamy, za któremi tęsknimy.

Z wiary jako korona, jako drzewo i owoc z korzenia, wyrasta

Miłość.

Apostoł o niej mówi, że jest największą z tych trzech cech chrześcijańskich i w poprzedzającym to słowo ustępie śpiewa prawdziwy hymn chwały na jej cześć. Powiada, że ona jest wieczna, nigdy nie ustanie, bo ustanie wiara, gdy spełni się Jezusowa modlitwa: Ojcze, chcę, aby ci, którycheś mi dał, byli ze mną, gdzie ja jest, aby oni w nas jedno byli; ustanie nadzieja nasza, gdy oblicze Boże twarzą w twarz oglądać będziemy i staniemy się świadkami wszystkich spełnionych obietnic Bożych; ale miłość i wtedy nie ustanie, co więcej, wtenczas jaśnieć będzie jasnością, jakiej tu nigdy nie miała. Miłość jest wypełnieniem zakonu, w miłości najwyraźniej objawia się istota Boża, dlatego zwie ją Paweł największą. Zapewne, prawdziwa miłość bez wiary istnieć nie może, ale wiara bez miłości taksamo martwą jest, jak korzeń bez drzewa, jeśli więc dzień dzisiejszy zachęca was do wiary, to niemniej wzywa was do miłości.

Bracia, świat dziś rozdarty jest w nienawiści, doszło do tego, że zaginęła łączność braterska między narodami, że brat brata nie rozumie, że nie miłość, ale nienawiść bywa głoszona. Każdy to czuje, że ten świat i ludzkość jest chorą, a chorą dlatego, że zamiera w niej miłość, a nikt nie ma odwagi do tego się przyznać; interes, zysk stał się bożkiem, przed którym wielu się kłania, i choć wie człowiek, że brakiem miłości ginie, to jednak o niej słyszeć nie chce. — Aż tu przychodzi kościół, chrześcijaństwo i głosi miłość! Czyżby ten głos na zawsze miał być głosem wołającego na puszczy, niesłuchanym i niesłyszczanym? Nie daj tego, Boże! Lecz jeśli nasz głos nie dotrze do szerokiego świata, nie dotrze tam, gdzie rozstrzyga się o losach państw i narodów, niech dotrze przecież do naszych serc i myśli, niech przemieni nasze życie. Obyśmy w miłości szczerzej, przenikniętej i uświęconej Duchem Chrystusowym, stali się jedną rodziną, oby zniknęły coraz więcej niezgody i swary, oby każdy nawet we wrogu umiał czcić człowieka, obyśmy byli nie tylko z imienia, ale i z serca i duszy braćmi i siostrami, umieli strzec swego, ale i przebaczać i zapominać. Niewielka nas gromadka, jeśli siebie wzajemnie miłować nie będziemy, jeśli miłszym nam będzie cudzy niż brat, to jakaż będzie przyszłość nasza?

A kiedy już o miłości mowa, to niech mi będzie wolno o jednym wspomnieć. Wiemy wszyscy, jak łatwo traci jeden do drugiego zaufanie. I te dzwony stały się tego przyczyną. Gdym ja zamawiał na podstawie uchwały prezbiterstwa do Trzyńca nasze piękne dzwo-

ny, a musieliśmy zamiast umówionych czterech miesięcy czekać jedenaście, to wreszcie powstawały w zborze obawy, czy też zbór nie poniesie straty właśnie z powodu mojego życzenia, by dzwony z tak dalekiego świata kupować. Jestem jeszcze niezbyt stary i mając sumienie czyste, przezwyciężyłem boleść, jaką sprawiły mi zarzuty, które do uszu moich musiały dochodzić. Pocięszalem się tem, że dzwony same swym pięknym głosem dowioda, iż zarzuty, podnoszone zresztą z miłości dla zboru i z obawy o jego mienie, były niesłuszne. Podobny zarzut, a wiercie mi, też niesłuszny spotkał i ojca, którego dotknął on jednak głębiej, bo go to bolało, że przeciw niemu, który przez 45 lat pracy w niczem zboru nie skrzywdził, mógł powstać zarzut, że spraw zboru nie dopiłnował, albo nawet grosz zboru sprzeniewierzył. Bolał go ten zarzut, tem więcej, że miał czyste sumienie, a opóźnienie w dostawie dzwonów nie z jego winy zaszło. I jemu się zdawało, że oczyszcza go z wszelkiego podejrzenia dzwony same, gdy do was nadejdą i odezwią się swym donośnym głosem, że wtedy każdy w wspólnej radości zrozumie, że ten sędziwy i wierny wasz duszpasterz swego zboru w niczem nie skrzywdził. Ile razy u mnie w Trzyńcu słyszał dźwięk naszych dzwonów, zawsze o tem wspominał. Gdy jednak dziś dzwony się odezwały, on już w grobie. W chwili, gdy nadeszła wieść, że dzwony już są w Boguminie, on leżał już w gorączce, tak się jednak ucieszył tą wieścią, że na poły tylko przytomny podniósł się na łożu i miał jakby wrażenie, że stoi wśród was przed kościołem, aby dzwony poświęcić i oddać je do użytku zboru, i w widzeniu tem, wywołanem gorączką i radością, wypowiedział stosowne do tej chwili przemówienie. I wtedy to polecił powiedzieć wam, że go te pogłoski bardzo bolały, ale on razem z prezbiterstwem wszelki żal zarzuca, gniewu nie chowa i przebacząc doznana krzywdę, cieszy się z wami i waszą radością. Powiedziałem to, zborze drogi, nie po to, aby komu sprawić przykrość, lecz aby spełnić jedno z ostatnich życzeń mego ojca, waszego i mego duszpasterza, a zdaje mi się, że mam do tego i odrobinę prawa, bom przecież wśród was nie tylko pracowałem, ale wśród was, tu w cieniu tego kościoła wyrósł, tu z wami słuchałem Słowa Bożego i bo was zawsze uważam i uważać będę za miłych mi braci. — A w końcu

Nadzieja.

Gdy mówimy o chrześcijańskiej nadziei, to mamy na myśli nadzieję wzbudzoną słowem Jezusa: Niech się nie trwoży serce wasze, idę, abym wam zgotował miejsce, a gdy je zgotuję, przyjdę zasię i wezmę was do siebie, abyście, gdzie ja jest, i wy byli — nadzieję żywota wiecznego i pokoju, za którym tęsknią wierzący i spracowani. Toć nasze dzwony głównie tę nadzieję nam głoszą, bo kiedykolwiek odezwą się poza niedzielami i świątecznymi godzi-

nami, to wiesz, iż głos ich mówi ci, że znowu jeden z nas wszedł na ścieżkę, którą nikt z nas się nie wróci. Wtedy na ich głos nieraz rzewna i tęskna powstanie myśl, wtedy może niejeden i łzę otrze z oczu, i smutno i tęskno ci, tak jak smutno będzie dziś nam, gdy w południowych godzinach te dzwony pierwszy raz się odezwą, aby ponad grobem mego, a mogę powiedzieć i waszego ojca głosić nam i przypomnieć, że go już między nami niema.

Ale w takich chwilach słyszymy, nie śmierć nam one zwiastują, nie tę wieść, że umrzesz a nie będziesz żył, lecz tę, że choć umrzesz, możesz jednak żyć. Teraz tylko po części znamy, po części widzimy, ale przyjdzie dzień, w którym spadną z oczu naszych łuski, i widzieć będziemy chwałę, wejdziemy w pokój, jakiego dziś myśl nasza przedstawić sobie nie zdoła.

Tak nie tylko wiarę, nie tylko miłość, ale nam żywym nadzieję, umarłym pokój niech zwiastują te dzwony, niech nam wniosą w serce ten śpiew i modlitwę:

Przyjdź, o Chryste, abyś nas wybawił
I mieszkanie nam w swym domu sprawił.
Wieczna światłości,
Oświeć groby, weź nas do radości. Amen.

Serc nie zatwardzajcie!

Kazanie wypowiedziane przez ks. Jana Lasotę z Jaworza na placu kościelnym. Żyd. 3, 7.

Nowi piewcy Boży i zwiastunowie pokoju powstają w szeregach naszych. mają dołączyć swój głos do pieśni naszych warg i na falach dźwięku nieść ofiarę wdzięczną przed Boży tron. Ich mowa ma przemawiać do serc i uszu naszych głosem mocnym i ma głosić chwałę Stwórcy wszego stworzenia: dzwony! Zaniemiał nasz kościół, gdy się krew lała na szerokich polach wojny, stare nasze dzwony, starzy i wierni towarzysze doli i niedoli naszej poszli razem z bracią naszą na wojnę, gdzie wydarto im język i serce, a głuche milczenie, które po nich nastało, przerywały jedynie jęki i szlochania płaczących wdów, sierot, opuszczonych, osamotnionych: głuche milczenie przerywał potem jeden tylko dzwonek sierota, jęcząc we wieży, jakby chciał opłakiwać tamte na wojnie, jakby płakał nad swem osamotnieniem.

Przewaliły się nareszcie nad głowami naszymi czarne chmuryńska dziejowej zawieruchy, słońce łaski i dobroci Bożej zaświeciło nam znowu, a głuche milczenie przerwać ma głos nowych dzwonów, zwiastunów pokoju i lepszej przyszłości. Nowe dźwięki mają one rozlewać po tych okolicznych górach i lasach Praszyweł, Czantorji, Łączki, Połednej, nowa muzyka ma rozbrzmiewać w powietrzu Bogu ku czci i chwale a ku uweseleniu serc naszych.

I tak, kochany zborze bystrzycki, doczekałeś się nareszcie tej utęsknionej i uroczystej chwili, w której przemawiają do ciebie po pierwszy raz twoje nowe poświęcone dzwony kościelne, doczekałeś się chwili, w której do uszu twoich dociera ta muzyka anielska z onych sfer górnych, a kościół twój głosem mocnym i harmonijnym woła do ciebie: „Pójdźcie, kłaniajcie się Panu“! Nowe masz dzwony, chociaż cena ich bardzo droga, boś za nie zapłacił ceną życia twojego nieodżałowanej pamięci kochanego pastora. Jego to w pierwszym rzędzie dzieło, nad jego to świeżą dziś jeszcze mogiłą one dziś dzwonią, jakby go do snu grobowego ukołysać chciały. O gdzieżeś to dziś, kochany nasz i długoletni duszpasterzu, w tę poświęckę dzwonów, na którą przez tyle miesięcy, przez lata całe radowało się twoje serce? Poszedłeś od nas, a one przyszły, aby już tylko nad twoją zadzwonić mogiłą. Twoja to w pierwszym rzędzie zasługa, a imię twoje z dziejami tych dzwonów związane zostało na zawsze. Za ofiarę życia, któreś złożył na ołtarzu miłości do twego zboru i kościoła, my dzieci twoje, któreś ty chrzcił, uczył, konfirmował, składamy ci w tej chwili uroczystej Bóg zapłacić!

Nowe masz dzwony, rodzinny zborze bystrzycki; przyszły z dalekiego świata i widocznie też tak długo na nie czekać musiałeś, przyszły, aby być towarzyszami twej doli i niedoli, by przemawiać do ciebie głosem z wysokości, by duszę twoją na falach dźwięków podnosić z nizkości i nieść ją tam, gdzie w akordach anielskiej muzyki znajdzie ona rozkosz prawdziwą. Jakież jest ich dla nas znaczenie i kiedy do nas przemawiają?

Możemy śmiało powiedzieć, iż przez całe życie nasze od kołyski aż do grobu towarzyszami nam dzwony, z nami się cieszą i radują, z nami płaczą i narzekają. Któreż to są chwile i okoliczności, w których odzywają się do nas dzwony?

Sześć dni pracowałeś w pocie oblicza, w znojach twego zawodu, sześć dni dźwigałeś brzemiona — oto zjawia się dzień Pański, niedziela, ty zrzucasz brzemiona, prostujesz swój grzbiet, obcieras pot z oblicza, bo z wieży przybytku Bożego odzywają się dzwony, rozlewając swe dźwięki na miasta i sioła, docierając do najdalszych chat i zakątków i zapraszając: Pójdź do domu Boga twojego i wzywaj Go razem z wierzącym zbozem! Niedziela, to dzień wytchnienia i wypoczynku, ale też chwila podniesienia duszy do Boga w sieniach Pańskich, pójdź i korzystaj, póki czas! — wołają na cię dzwony.

Przez zimowe, śnieżne pola i poprzez noc ciemną słyszysz ich wołanie: Pójdź, Pan się narodził; Jutrznia to, ono najpiękniejsze w roku nabożeństwo przy blasku świec jutrzennych obchodzone.

Wśród budzącej się do życia przyrody i brzasków porannych daje się słyszeć z miejsca na miejsce wołanie dzwonów: Pójdź, oto Pan zmartwychwstał!

Wśród zieleni drzew i kwiatów, pośród zasiewów w górę strzelających w pełnym blasku słonecznym wołają dźwięczne tony: Pójdź, oto Duch Pański wylany został na wszelkie ciało, które w Chrystusa Pana wierzy!

O śpiesz na zaproszenie dzwonów, twój Bóg cię przez te tony zaprasza, byś brał udział w błogosławieństwie Bożego Słowa, w zwiastowaniu zbawienia. O nie pozostań nigdy w domu, rzuć pracę i troskę na bok, pójdź do kościoła, a wrócisz do domu błogosławiony, usprawiedliwiony, podniesiony na duchu, pokrzepiony na duszy! „Dziś, jeżelibyście głos ich słyszeli, nie zatwardzajcież serc waszych“.

Lecz nie zawsze w pełnym akordzie dzwonów słyszymy ten głos Boży. Słyszymy go też w poszczególnych, powolnych tonach, kiedy żelazny młotek zegara uderzając w dzwon, zwiastuje, iż znowu jedna godzina utonęła w morzu wieczności. Czas płynie, jak woda, wskazówka zegara posuwa się naprzód, i co chwila słyszysz ten jęk dzwonu, jakby jęk pożegnalny za tą chwilą, która upłynęła jak nurt powodzi i więcej już nie wróci. Prędzej, niż myślisz, usłyszysz ostatnie uderzenie, ostatni jęk — to bije twoja godzina skonania. Do tego napominają cię głosy dzwonu, przeto korzystaj z dnia, zanim przyjdzie noc, kiedy nie będziesz mógł więcej pracować! Przenoś duszę swą do wieczności, gdzie niema dnia ni godziny, gdzie wiecznie będziesz żył i wiecznie zażywał błogości w społeczności niebianów. Pracuj tak, jakbyś wiecznie tu miał żyć, a żyj tak, jakbyś jutro miał umrzeć, bo każda godzina droga. „Dziś, jeżelibyście głos ich słyszeli, nie zatwardzajcież serc waszych!“

Kto z dnia wiernie i pilnie korzystał, kto aż do wieczora znosił ciężar dnia i upalenie, kto dokończył trudów i pracy, komu pot uperlił oblicze, ten miło i pożądliwie słucha dzwonu wieczornego, a dzwonięcie południa przynosi mu pokrzepienie. Taki z modlitwą przystępuje do stołu i z wdzięcznością spożywa dary łaski Bożej. Dzwon na wieży, to regulator naszej pracy. Czy wcześniej rano, czy w południe lub wieczór głos jego się rozlega, zawsze jest on nam przypomnieniem hasła: Módl się i pracuj, czyń i spocznij, czerpaj nowe siły na twem łożu, nowe chęci i zapal na łonie twej rodziny, idź z Bogiem do dzieła, kończ dzień modlitwą — do tego cię wzywa głos dzwonu, „Dziś, jeżelibyście głos ich słyszeli, nie zatwardzajcież serc waszych!“

A cóż znaczy ten dzwon, który w niedzielę i święta zrana przed głównym nabożeństwem z wieży kościoła się odzywa? Głos jego cienki, jak głosik tego skowronka, który rankiem z naszych pól wzbija się w chmury. To dzwonek z wieży kościoła, zapraszający do Stołu Pańskiego, który nakryty wyczekuje gości, co chcą wziąć udział w świętej Wieczerzy. I dąży każdy, którego sumienie robak toczy, kto czuje ciężar winy, by tu w sieniach Pańskich kajać się

przed Bogiem, sędzią sprawiedliwym i wziąć cząstkę pokoju onego, który przewyższa wszelki rozum ludzki. Ilekroć, chrześcijanie miły, dotrze do uszu twoich głos tego dzwonu, wiedz, iż cię Bóg wzywa na porachunek, byś się do Niego nawrócił i chodził drogami Pańskimi. „Dziś, jeźlibyście głos jego słyszeli, nie zatwardzajcie serc waszych!”

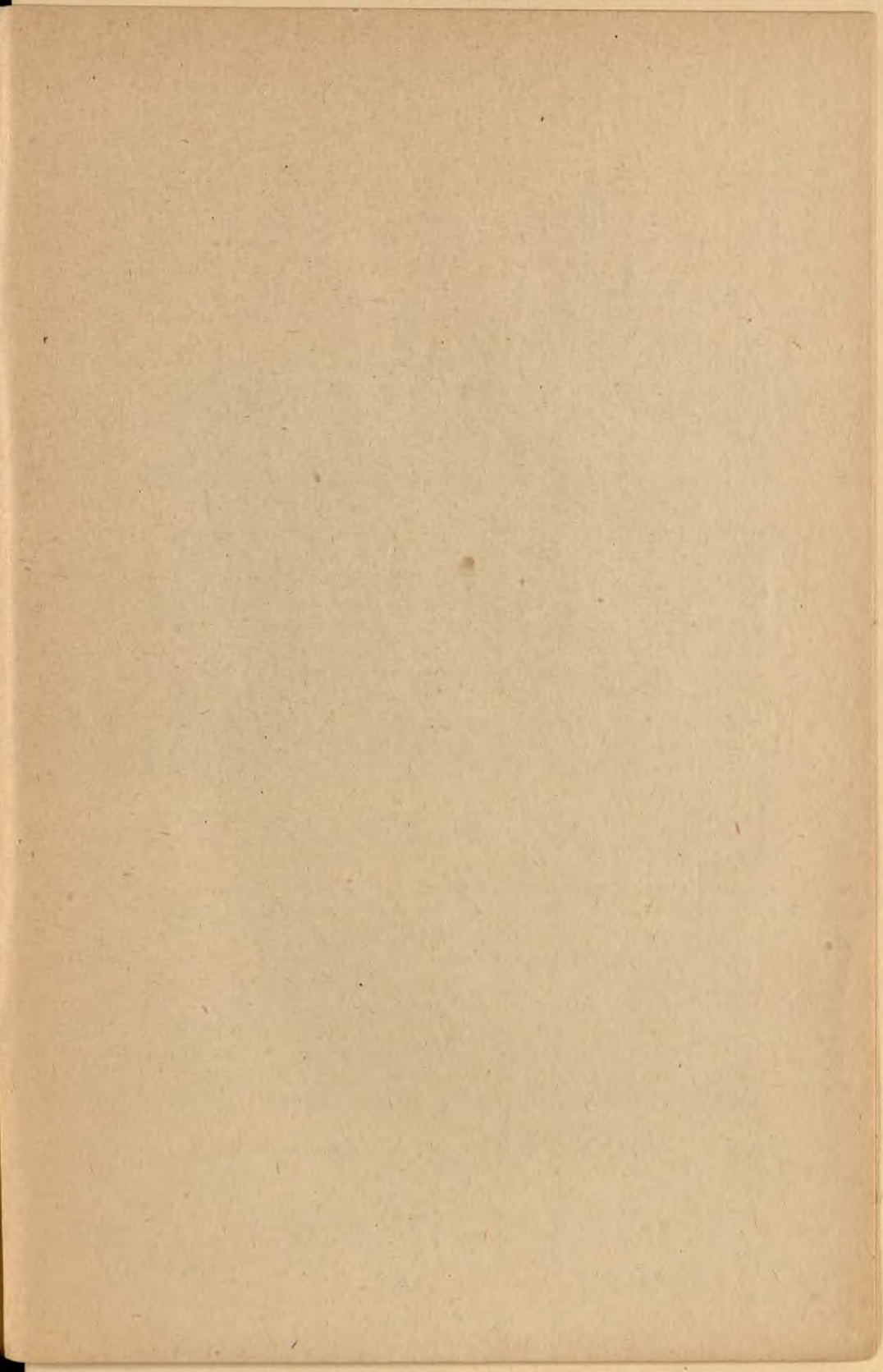
W życiu ludzkim wiele jest trwogi i nędzy, wielkie nieraz grożą niebezpieczeństwa i straty, a grożą one nie zawsze jednostce, lecz zagrażają też wspólnej naszej własności. W takich wypadkach nie jedna tylko ręka nieść może pomoc, tu musi wspólna siła, braterska miłość śpieszyć z pomocą. Ogniste na niebie języki w mrokach nocnych zwiastują nieraz, że sąsiedni bracia walczą z groźnym żywiołem; rozpetana przemoc ognia niszczy ludzkie mienie, wezbrane wody powodzi, przeskakując groble i brzegi i zalewając pola, zagrażają życiu ludzkiemu. W takich chwilach odzywa się dzwon na trwogę w krótkich urywanych uderzeniach. To nie są wzniosłe dźwięki, to wołanie o pomoc, to krzyk o ratunek. I wtedy nie można złożyć rąk na łonie, nie można się spokojnie i beczynie przypatrywać, nie można myśleć tylko o sobie — ratująca miłość słyszy w uderzeniach dzwonu wołanie: Pomóż, o pomóż! i co żywo śpieszy każdy i z narażeniem życia śmiało i odważnie stawia czoło niebezpieczeństwu, by ratować życie braci. Oby nasze dzwony jak najmniej i najrzadziej takie wydawały tony i tego rodzaju samarytańskiej przysługi od nas żądały! Jeźliby zaś odezwał się ten dzwon na trwogę z wieży naszej, o bracia, pamiętajmy: głos dzwonu, to głos Boży, na który nie śmiemy zamykać uszu, lecz słysząc go, śpieszyć z ratunkiem zagrożonej braci naszej. „Dziś, jeźlibyście głos jego słyszeli, nie zatwardzajcie serc waszych!”

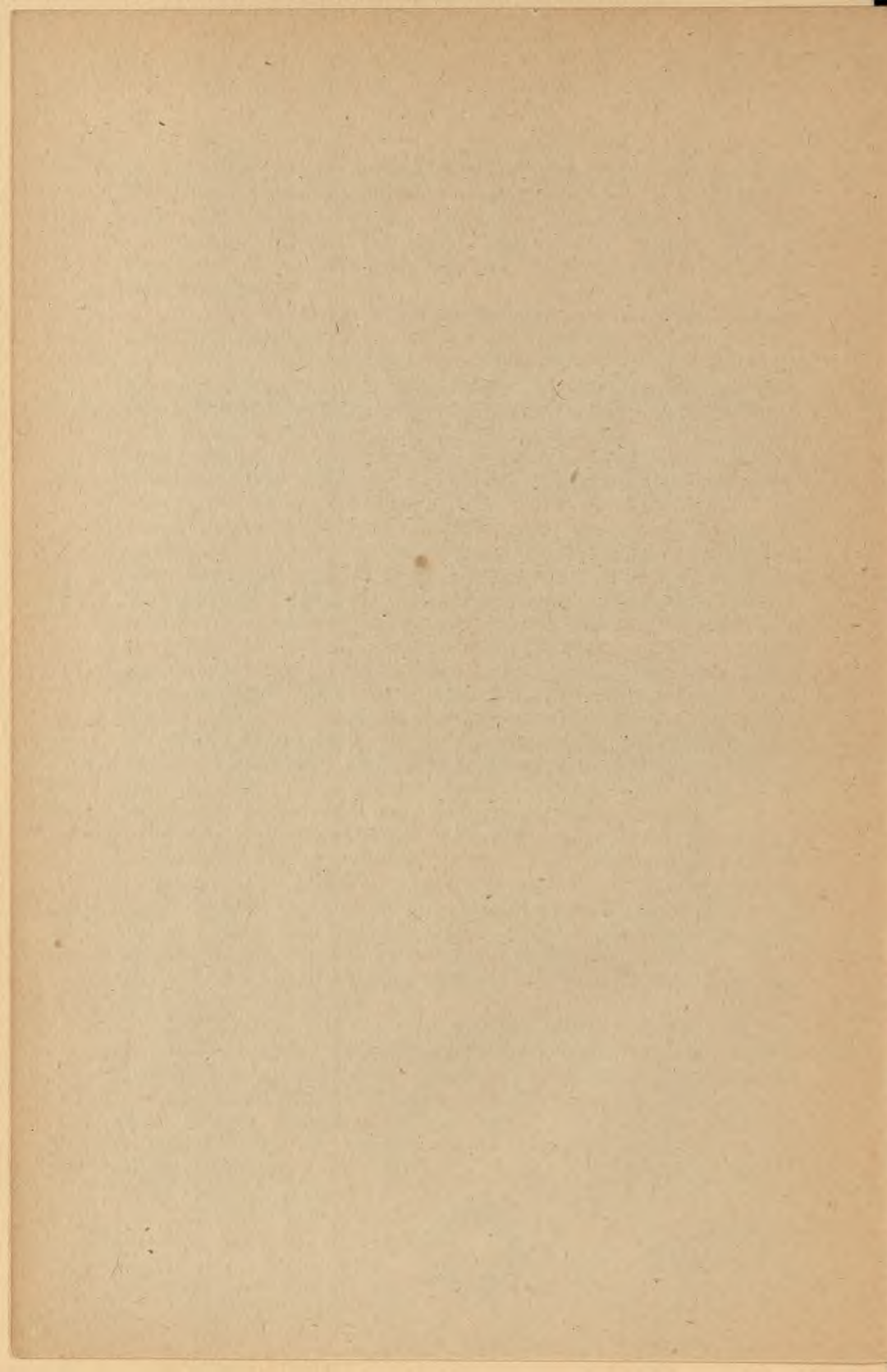
Niemniej smutnym od dzwonu trwogi jest też wreszcie i dzwon pogrzebowy. Gdy go słyszymy, nieraz wśród tygodnia przy pracy polnej lub w progach domu, to wiemy: znowu jeden z naszych ze zboru zamknął swe powieki do snu grobowego. Ze łzą w oku, z żalem w sercu stoi tam gdzieś rodzina nad łóżem nieboszczyka i szykuje się do obrzędu pogrzebowego. A te dzwony, oplakując umarłego, wzywają nas płakać z płaczącymi i towarzyszyć zmarłemu w jego ostatniej podróży.

Tak dzwońcie, wy dzwony, czysto i pełno! Kołysajcie się tam w onych górnych przestworzach i dzielcie nasze radości i smutki. Podnoście przez swe dźwięki nasze serca w górę do Pana, a wasze wołanie niech będzie w każdym wypadku głosem Bożym w piersiach naszych. Dzwoncie Bogu na chwałę, wasz dźwięk niech Mu będzie nową pieśnią, wasze wołanie na nas Bożem błogostawieństwem — Amen.



ZBIORY
S. ZAHRADNIKA





Dec. '02

Książnica Cieszyńska

KD II 1850

Drukarnia P. Mitęgi w Cieszynie.
